

# TYGODNIK LITERACKI

Nr 9 (24) ■ Rok II ■ 3 MARCA 1991  
ISSN 0867-1257 ■ Nr indeksu 379689 ■ Cena 2500 zł

BALTYN, BARYŁA, GRUPIŃSKI, GUZE, JABÈS, JARECKA, JEŻEWSKI,  
KRÓL, MACOR-FILARSKA, MILANOWSKA, PAŹNIEWSKI, ŚMIGŁO, ZIELIŃSKI

## Homo sapiens stultus

rozmowa ze Stanisławem Lemem

*Jak widzi Pan przyszłość literatury jako pisarz i myśliciel o wyraźnych skłonnościach futurologicznych, a zarazem autor Filozofii przypadku?*

- Jestem niespokojny o literaturę z dwóch powodów. Jest taka anegdota o Napoleonie: pewnego razu zapytał mieszczan, dlaczego nie oddali salwy na jego cześć i w odpowiedzi usłyszał: *Po pierwsze nie mamy armat. Można powiedzieć podobnie: po pierwsze mamy bardzo mało debiutów, zwłaszcza prozatorskich. Brakuje literackiego narybku. Młodzi, utalentowani ludzie, nie mają specjalnego entuzjazmu dla literatury. Jest rzeczą ponurą, że wśród ludzi, którzy reprezentują literaturę nie ma panów poniżej sześćdziesiątki. Literatura okrutnie się postarzała.*

Po drugie, niezmiernie trudno jest pisać w obecnej sytuacji. Marksizm, który do niedawna mógł być jakimś układem odniesienia, jest już martwy. Niedawno przeglądając *Dzienniki Gombrowicza*, natknąłem się na jego polemiki z marksizmem. Strasznie to zblakło. Marksizm jest dla nas dzisiaj formacją nie tylko zamkniętą, ale całkowicie należącą do historii, zmurszałą. Jest jakimś wielkim nieporozumieniem socjotechniczno-filozoficznym. A przecież, mimo wszystko, marksizm dawał polskiej literaturze szansę na uniwersalność. W tej chwili nie widzę takiej problematyki, która będąc polską, jednocześnie wykraczałaby poza nasze lokalne sprawy i była interesującą ofertą dla świata. Jedyne, co wydaje mi się teraz możliwe, to jakieś nawiązanie do wczesnych powieści Kadena-Bandrowskiego, w których przedstawia on radość z odzyskanego „własnego śmietnika”, formowanie się państwa, walki polityczne. Nie są to jednak tematy frapujące ani dla polskiego czytelnika, ani tym bardziej dla

świata. Chociaż, oczywiście, zawsze może pojawić się taki nowy Gombrowicz, który nas wszystkich „zastrzeli”.

Na pocieszenie można by powiedzieć, że w krajach silnego rynku, bardzo zamożnych, literatura też nie kwitnie. Na przykład Francja jeszcze w pierwszej połowie dwudziestego wieku była niesłychanie bogata w talenty, a teraz nie ma czego przekładać.

*- W czym upatrywałby Pan przyczyn takiego stanu rzeczy?*

- Są rozmaite hipotezy. Mówi się na przykład, że literatura systematycznie przegrywa ze sztukami wizualnymi. W niektórych krajach, przykładowo w Stanach Zjednoczonych, pojawia się wtórny analfabetyzm. Ludziom po prostu nie chce się czytać, nawet książki nagrywa się na kasety, żeby móc ich słuchać z walkmana.



JACEK GAWŁOWSKI

Niedawno Andrzej Szczypiorski powiedział w wywiadzie, że literatura wyższego lotu zawsze była elitarna i obecnie także nie może stać się zjawiskiem kultury masowej. Wynika z tego, że jeśli nie ma elit, to nie ma dobrej literatury. Nietrudno zauważyć, że od pewnego czasu następuje zanik elit humanistycznych

**WOLNOŚĆ**  
Wolność dla mas to wolność i niewola  
Niewiele jednostek posiada inicjatywę z odpowiedzialnością, wolną wolę i myślenie niezależne.  
Są to jednostki wolne.  
Wiele jest jednostek zdolnych, ale niewielu uświadamia sobie i rozwija swoje zdolności.  
Tkwią one w nich potencjalnie, ale nie są pobudzone do aktywności, tak jak w chemii - pewien płyn pod wpływem katalizatora wielokrotnie swoje aktywne cechy. Niema ostrej granicy między ludźmi zdolnymi i niezdolnymi tak jak niema granicy między ludźmi złymi i dobrymi.  
Jednostki obdarzone spostrzegawczością i wyobraźnią, mogą przekształcić jednostki przeciętne wykazując, że rzeczy zwykłe mogą być niezwykle i to co jest blache może stać się ważne. Masy niewyroblone skazane są na dobrowolne lub wymuszone POSLUSZENSTWO, tak jak zwierzę uwarzone przez człowieka zatracając świadomość swojej siły, która umożliwiła by mu wyzwolenie się ze swego jarzma, pozostaje mu tylko posłuszeństwo.  
Krytyczna analiza rzeczywistości tworzy nową rzeczywistość albo - rzeczywistość nierzeczywistą.

Henryk Staszewski połowa lat 80

i artystycznych. A zadekretować się nie da: *Niech będzie elita!* Można zrobić pobór do wojska, ale nie do elity.

Do tego dochodzi sytuacja ekonomiczna. Ja zawsze uważałem, że bogate państwa powinny mieć trzecią drogę do kultury, dzięki której dzieła sztuki byłoby traktowane inaczej aniżeli paczka herbaty. Mieszkając w okresie stanu wojennego w Austrii, byłem taki głupi i naiwny, że dziwiłem się brakowi pism literackich na tamtym rynku. Napisałem wtedy parę opowiadań, w sam raz dla jakiegoś miesięcznika literackiego. Ale okazało się, że nie ma ich gdzie umieścić. Wy tłumaczono mi, że po prostu publiczność tego nie potrzebuje i nie kupuje. A na pisma nie przynoszące

dochodu tam nikt nie wyłoży pieniędzy.

Kiedy mój niemiecki wydawca proponował, żeby Bundestag uchwalił dotacje dla sfinansowania przekładów najcenniejszych utworów obcojęzycznych, to spotkał się z gromkim śmiechem: *Jak to: będziemy dokładać do książek? Wiadomo, potrzebne są dotacje na produkty rolne, ale na książki?*

*- Może jednak stan polskiej kultury nie jest aż tak fatalny, skoro właśnie w Krakowie ma odbyć się sympozjum KBWE na temat kultury?*

*- Kiedy przeszliśmy z PRLu do Rzeczypospolitej, to wszystko bardzo się zmieniło. Między innymi zmalała rola*

dokończenie na s. 3



Stanisław Lem

# Homo sapiens stultus

dokończenie ze s. 1

kultury. Do niedawna mieliśmy kulturę jak piękną dziewczę zamkniętą w klatce. Klatka znikła, ale razem z nią znikła ta dziewczęca. Zostały tylko szczątki. Jakkolwiek socjalistyczne państwo było mecenasem dość okrutnym i prokrustowym, to jednak mecenasem było.

Nastąpiły także takie zmiany, o których w ramach sympozjum KBWE mówić jest niezręcznie. Przede wszystkim stan wojenny spowodował rozpęknięcie się środowiska literackiego na wiernych *WRONie*, do których nie należałem, i na opozycję, która później powołała Stowarzyszenie Pisarzy Polskich.

Ja osobiście tylko przez lojalność dla kolegów wstąpiłem do SPP, ponieważ w ogóle nie jestem entuzjastą jakichkolwiek związków pisarzy. Nigdy nie miałem silnych związków ze środowiskiem literackim Krakowa, funkcjonowałem na zasadzie *in partibus in fidelium*, a moje kontakty ograniczały się do strefy lojalności, kiedy trzeba było wystąpić wspólnie o coś lub przeciw czemuś.

Rozpad kultury, spowodowany stanem wojennym, trwa nadal. Naprawdę nie mamy się czym chwalić. Co najwyżej możemy być zadowoleni z tego, że znajdowaliśmy się w czołówce ruchów niepodległościowych. Ale stanowczo nie przodujemy w dziedzinie nowatorstwa kulturowego czy literackiego. Jeśli nawet trafiają się sukcesy w skali światowej, to są to indywidualne przypadki. Wszystko się rozleciało – nie ma ani wyrazistych nurtów, ani grup literackich, a jeśli chodzi o teorię literatury, to jest jeszcze gorzej.

Nie są to zjawiska, które warto by przedstawiać europejskiej i światowej publiczności, ponieważ będzie to wyglądało tak, jakbyśmy jeszcze w jednej dziedzinie wyciągali rękę po pieniądze jak żebrak. Muszę powiedzieć brutalnie, że nie odczuwam życia kulturalnego w Krakowie.

– Nie wierzy Pan, że eksplozja demokracji przyniesie jakieś korzystne zmiany w kulturze?

– Sytuacja jest paradoksalna, ponieważ rzeczywiście oczekiwano, że kiedy upadną mury i cenzury, to wszystko rozkwitnie. Ale jakoś nie chce rozkwitać. Jeśli chodzi o literaturę, to jestem ostrożnym pesymistą. W innych dziedzinach – jak film czy teatr – sytuacja jest o tyle łatwiejsza dla tych, którzy są gotowi znartwić się panującą tam pustką, że zawsze można powiedzieć: nie ma pieniędzy. Podczas gdy ludzie pióra potrzebują tylko kartki papieru.

– Pana twórczość może być jednak dowodem, że literatura żyje i ma się nieźle...

– Przyznam się, że jestem „użytkowny” przez dziennikarzy – zresztą wyłącznie zagranicznych – raczej jako futurolog. Wszyscy chcą ode mnie prognoz, ale nie literackich, tylko dotyczących ogółu wydarzeń na świecie. A ja cały czas mówię, że stoimy na takiej historycznej obrotnicy, nie wiedząc, jak ona ostatecznie się ustawi. Prognozy polityczne są niezmiernie ryzykowne, a praktycznie niemożliwe.

– Może więc bardziej interesujące będzie pytanie o przeszłość. Jak Pan ją pojmuje, jakie ma ona znaczenie?

– Od czasu, kiedy futurologia zaczęła chorować i nic się nie sprawdzało, modne stało się powiedzenie: *Nic tak szybko się nie starzeje, jak przyszłość*. Paradoksalnie to samo można powiedzieć o przeszłości. Wbrew pozorom przeszłość jest w dużym zakresie modyfikowalna. Na przykład: powszechna jest teraz idealizacja II Rzeczypospolitej. Ja pamiętam dość dobrze ten okres między wojnami, ponieważ był to czas mojego dzieciństwa i młodości. Kraj był wtedy straszliwie biedny, nieporównywalnie biedniejszy nie tylko od Francji czy Niemiec, ale także od Czechosłowacji. A dzisiaj ludziom się wydaje, że tamta Polska była krajem powszechnego dobrobytu i sprawiedliwości. Faktem jest, że w sklepach i na wystawach była obfitość towarów, nie wywoływało to jednak takich wściekle niezaspokojonych apetytów ludzkich jak obecnie. Społeczeństwo było stromo hierarchicznie ustratyfikowane, dzięki czemu ludzie



ZBIGNIEW WALISZEWSKI

mieli horyzont konsumpcji ograniczony do ich możliwości i pozycji społecznej. Dzisiejsza wizja II Rzeczypospolitej, jako kraju równego dla wszystkich dostatków, jest więc wielkim wypaczeniem świadomości społecznej.

Innym przykładem podatności przeszłości na modyfikację, jest spór historyków niemieckich o Hitlera. Część z nich próbowała go wybronić od zarzutu, że rzucił się jak szalony na Sowiety, po czym spalił pół Europy. Obrona opierała się na karkołomnej hipotezie, jakoby wojna hitlerowska była wojną prewencyjną, mającą zabezpieczyć Niemcy przed napaścią Stalina. Zapomniano przy tym o takiej „drobnostce”, że Hitler rzucił się najpierw nie na Sowiety, tylko na Polskę – ta „drobnostka” kosztowała nas 1/5 części ludności. Wszystkie te zabiegi historyków niemieckich miały na celu włączenie Hitlera w poczet wielkich polityków niemieckich.

Przeszłością można manewrować i ma-

dokończenie na s. 6

## Mariusz Baryła

### Hymn

Niech żyje Hieronim Szczur i niech nie umiera!  
Jest wielkim poetą dlatego poświęcam mu wiersz  
aby nie pieścił cudzej krwi tylko dał świadectwo  
że świat nasz materialnym stał się w chwili  
gdy Róża Luksemburg – jak by przeczuwając śmierć –  
założyła czerwoną suknię uszytą ze skóry Lenina  
i dała się powieść na stos by spłonąć jak ulotka  
nawołująca do nacjonalizacji. A później  
na zmianę tańczyła z rumuńskim imperatorem  
o pysku psa Baskerville’ów i jego ambasadorem  
w Lechistanie – Konstantym Ildefonsem Gałczyńskim.  
On szeptał jej czule: kochanie, nie lękaj się, tylko  
przyzwyczajaj, do nowej rzeczywistości gdzie nikt,  
nawet Spartakus, nie musi ukrywać swoich upodobań.

Niech żyje Jerzy M. Wąsik i niech nie umiera!  
Jest wielkim poetą dlatego poświęcam mu wiersz  
aby dokończył ten materialistyczny poemat o Mao Tse,  
który stał się kobietą podczas rewolucji lutowej  
i 12 marca 1917 r. w Piotrogradzie pytał Stalina:  
„Czy ma pan żonę? Żonę której kupuje się francuskie  
perfumy i którą zdradza się we Francji?” Stalin  
nic nie odpowiedział, zmrużył tylko oczy, sięgnął  
po kieliszek koniaku i znów był w Paryżu gdzie  
poszukiwaczka Graala – dr Elza Schneider czekała  
na niego przeciągając się kocio i popijając  
wytrawnego jak tajga szampana. A kiedy wszedł  
zapytała: powiedz mi kochanku bolszewików czemu  
ach czemu zniesiono w tym kraju *Ius primae noctis*?

### Złota kartka

Czy wiesz dlaczego kocham *Havanę Club Nr 3*?  
bo kocham Graciliano Ramosa i jego mlecznego  
brata Davida Hamiltona w pastelowej koszuli  
i jego mlecznego brata Mirosława Válka i ich  
matkę Marię Dąbrowską i jej siostrzenicę Elę  
Sidorowicz – wirtuoza odcieni szarości i jej  
mlecznego brata Jana Polkowskiego i jego ojca  
poławiacza pereł Vermeera van Delft i jego syna  
papieża rewolucji Delacroix i jego przyjaciółkę  
Lenę która kocha mój krajobraz jak ja kocham  
Wołgę i wnuczkę Leny o imieniu Olga opowiadającą  
o rosyjskich choinkach obwieszonych ciężarkami  
światła i o mlecznej siostrze Ewie Parmie  
kochance Johna Donne’a zazdrosnej o mlecznego  
brata Ezrę Pounda w eskimoskim futrze zakochanego  
w swojej córce nie czującej j e s z c z e  
swojej córki którą ja dobrze znam: czesze  
włosy brązowe pokrywa kremem szczuple dłonie  
poprawia okulary na nosie i w i d z i swego  
mlecznego ojca

„Kłopot z wieloma domniemanymi artystami — pisał Auden — polega dzisiaj na tym, że trafnie dostrzegając iż wiele wspaniałych utworów jest napisanych z tak nadzwyczajną swobodą i łatwością sądzę, że sami mogą tak pisać. Lecz taką swobodę uzyskuje się w rezultacie długiego procesu: najpierw uczenia się techniki (każda technika jest konwencją i z tego względu jest niebezpieczna) a potem oduczenia się jej. Znacznie łatwiej jest się nauczyć niż oduczyć i większość z nas potrafi się tylko nauczyć, lecz nie ma innej drogi do wielkości, nawet jeśli nie uda się nam jej pokonać w całości”.

W swej istocie poezja nie jest więc ani wyrazem emocji ani sposobem na wywoływanie emocji pożądaných, jest sposobem na zdobywanie wiedzy na temat ukrytych emocji i utajonych związków między nimi. W kategoriach ontologicznych pogląd Audena można przedstawić przywołując koncepcję świata pierwotnego i wtórnego. Sformalizowany wiersz należy oczywiście do świata wtórnego i dopóki technika, a więc konwencja stanowi szczelne opakowanie, dopóty poznawcze walory wiersza są nie do stwierdzenia. Przekroczenie pozo-

5. Każdy student byłby obowiązany opiekować się jakimś zwierzęciem domowym i uprawiać działkę ogrodową”.

Poeta nie powinien za żadne skarby świata żyć z pisania, gdyż we współczesnym świecie jest to niemożliwe, natomiast życie z pisania rozmaitego rodzaju głupstw jest dla poety bardzo niebezpieczne. Spośród rozmaitych literackich zajęć zarobkowych stosunkowo najmniej szkodliwe dla własnej twórczości jest tłumaczenie.

Chester Kallman był bardzo muzykalny i ubóstwiał operę. Auden przed poznaniem Kallmana właściwie z operą nie miał żadnego kontaktu. Zachęcony przez przyjaciela, najpierw coraz częściej chodził na znakomite nowojorskie przedstawienia, a stopniowo zaczął w pisaniu librett operowych dostrzegać wcale nie drugorzędną szansę twórczej realizacji. Jeszcze w okresie przyjaźni z Benjaminem Brittenem, w 1941 roku Auden napisał libretto do „operetty” Brittena *Paul Bunyan*, dzieła nie bardzo udanego i prawie nie wystawianego. Potem były próby, też nieudane, współpracy z Brechtem. W 1947

starannie dobiera menu i wina, Auden pochłania wszystko nie przerywając rozmowy. Strawiński bardzo silnie reagował na wrażenia zmysłowe, na malarstwo i naturę. Auden był właściwie ślepy na malarstwo a naturę lubił raczej w zorganizowanej, „ogrodkowej” formie. Obaj byli religijni, lecz Strawiński do religii dotarł przez doświadczenie mistyczne, a Auden przez racjonalną teologię.

Auden nie uprzedził Strawińskiego, że libretto będzie pisał wspólnie z Chesterem Kallmanem, ale kompozytor, najpierw nieprzyjemnie zaskoczony, po przeczytaniu libretta, które mu się bardzo podobało zaakceptował Kallmana. W 1951 roku w Wenecji odbyła się prapremiera opery, która weszła na stałe do wielkiego repertuaru. Potem kilkakrotnie Strawiński i Auden chcieli razem pracować, ale nic konkretnego z tego nie wynikało. W następnych latach napisał jeszcze kilka librett, wszystkie napisane były wspólnie z Chesterem Kallmanem. Auden chętnie pisałby więcej, ale lata pięćdziesiąte i sześćdziesiąte nie znały jeszcze tak silnego powrotu do upodobań operowych, jaki możemy dzisiaj

Marcin Król

## Bardzo wścibski starszy gość (4)

mu konwencji, dostępne tylko największym, możliwością wymknięcia się z jej fortyfikacji, pozwala na powrót do świata pierwotnego czyli na poznanie. Jednak konwencji jako etapu pracy nie da się pominąć, ponieważ dzięki niej udaje się zorganizować chaos. Poznanie świata pierwotnego polega bowiem na odtwarzaniu w świecie wtórnym chaosu świata pierwotnego, naśladowanie świata pierwotnego jest nonsensem. Po co to czynić skoro świat pierwotny już istnieje?

Jak łatwo pojąć szczególnie mocno irytowały Audena te skłonności awangardy artystycznej, które polegały na szukaniu form wyrazu odpowiednich do rzeczywistości. Trafnie dostrzegając we wszystkich próbach *écriture automatique*, w skrajnym ekspresjonizmie, w antypowieści zaprzeczenie poznawczych zadań sztuki, a zatem ślepią uliczkę. Ze staroświecką i nauczycielską pedanterią Auden pouczał młodszych poetów, że „każdy nowy utwór powinien (prócz innych, ważniejszych rzeczy) podejmować próbę rozwiązania jakiegoś nowego technicznego problemu”. Zapewne łatwo było tak mówić poecie obdarzonemu niebywałą łatwością pisania, ale Auden, mimo tej łatwości (wiersze pisane w kilkanaście minut na zamówienie przyjaciół), pisał powoli i wielokrotnie poprawiał bruliony wiersz. Pierwszą wersję pisał piórem w brulionie oprawionym w twarde okładki, na sąsiedniej stronie notował zmiany i poprawki. Następnie sam przepisywał całość na maszynie i znowu kilkakrotnie zmieniał i poprawiał, a zmiany — ku utrapieniu krytyków i historyków literatury — potrafił wprowadzać także w kolejnych publikowanych wydaniach.

Nie znosił rozmów na temat swoich utworów. Wiersz raz skończony i wydrukowany uważał za ciało obce, za mieszkańca świata wtórnego. Kiedy go pytano „co miał na myśli...?” pisał to lub owo, odpowiadał, że każdy ma prawo do swojego zdania, a jego zdanie jako autora, wcale nie jest ważniejsze niż zdanie dowolnego czytelnika. Oczywiście nie całkiem tak było. Lubił znać opinie innych poetów. Pogląd taki był także związany z przekonaniem Audena, że pisanie wierszy jest „wysoce wyspecjalizowanym” zawodem, a zatem nie dla wszystkich wiersze są pisane, a jakość wykonawstwa w pełni docenić potrafią tylko koledzy po fachu.

Auden miał bardzo zdecydowane poglądy zarówno na edukację poety, jak i na pożądaną sposób życia. „Wymarzona przeze mnie Szkoła Poetów miałaby program następujący:

1. Poza językiem i co najmniej jednym z języków dawnych, prawdopodobnie greką lub hebrajskim, obowiązywałaby nauka dwóch języków nowoczesnych.
2. W językach tych studenci musieliby wyuczać się na pamięć tysięcy strofek wierszy.
3. Biblioteka szkoły nie zawierałaby żadnych książek z dziedziny krytyki literackiej; jedynym wymaganym ćwiczeniem z zakresu krytyki byłoby pisanie parodii.
4. Studenci uczęszczaliby na kursy prozodii, retoryki i filologii porównawczej, prócz tego każdy musiałby sobie wybrać trzy spośród następujących przedmiotów: matematyka, historia naturalna, geologia, meteorologia, archeologia, mitologia, liturgia, gotowanie.

roku Strawiński zwrócił się przez przyjaciół do Audena z propozycją napisania libretta według cyklu rycin Hogartha *Życie rozpustnika*. Auden był zachwycony. Strawiński zapłacił Audenowi bilet lotniczy do Hollywood, Auden wypytywał swojego przyjaciela Nicolasa Nabokova (stryjcznego brata wielkiego pisarza) czy Rosjanki należy całować w rękę i jak się w ogóle trzeba zachowywać i polecił. Robert Craft, krytyk muzyczny i przyjaciel Strawińskich, zabawnie opisuje spotkanie dwóch wielkich. Strawiński musiał jakoś za pomocą krzesła przedłużyć łóżko przeznaczone dla Audena, nie spodziewał się bowiem, że poeta jest aż tak wysoki. Pracowali przez tydzień i porozumieli się doskonale. Przyjaźń, która niespodziewanie szybko i intensywnie rozwinięła się między nimi była przyjaźnią dwu całkowicie odmiennych ludzi. Craft wspomina kolację w nowojorskiej restauracji, w której i on brał udział. Strawiński, schludny, lekko wyperfumowany, Auden w pomiętym, nie całkiem czystym ubraniu. Strawiński

dostrzec i po prostu brakowało odpowiednich zamówień.

Libretta nie były dla Audena ani dodatkową formą pracy literackiej ani sposobem na zarobienie pieniędzy, których zresztą w ostatnich dwudziestu latach życia miał już dość dużo. Libretta stanowiły w pełni artystyczne przedłużenie twórczości poetyckiej. Auden w pełni zdawał sobie sprawę z usługowej natury libretta, które w odróżnieniu od tekstów pieśni, ma jedynie sprzyjać pobudzeniu wyobraźni muzycznej kompozytora. Jednak artystyczna atrakcyjność tej pracy polegała na czym innym. Porównując pracę dramaturga i autora librett Auden pisał: „Librecista nie musi, przeciwnie do dramaturga, przejmować się prawdopodobieństwem. Wiarygodna sytuacja w operze to taka, w której jest wiarygodne, że ktoś śpiewa. (...) Akcja dobrej opery nie może być „rozsądna”, bo ludzie nie śpiewają, kiedy są w „krośnym” nastroju”. A w innym miejscu: „Złoty wiek opery, od Mozarta do Verdiego, zbiegł się ze złotym wiekiem liberalnego humanizmu, niekwestionowanej wiary w wolność i postęp. Jeżeli dzisiaj rzadziej powstają dobre opery, to zapewne dlatego, że nie tylko nauczyliśmy się, iż jesteśmy mniej wolni niż to wyobrażał sobie dziewiętnastowieczny humanizm, lecz także staliśmy się mniej przekonani, iż wolność jest jednoznacznie błogosławieństwem, iż wolni są na pewno dobrzy. Z tego, że trudniej dzisiaj napisać operę nie wynika jednak, iż jest to niemożliwe. Byłoby tak, gdybyśmy przestali całkowicie wierzyć w wolną wolę i osobowość. Każde dokładnie brzmiące wysokie C obala teorię, według której jesteśmy nieodpowiedzialnymi marionetkami w rękach losu lub przypadku”.

Auden — jak się zdaje — dostrzegając w operze w ogóle — a dla siebie w pisaniu librett — tę szansę, którą sztuka europejska dostrzegła dopiero w ostatnich latach, z trzydziestoletnim więc opóźnieniem w stosunku do poety. Upraszczać można powiedzieć, że liczne wysiłki w malarstwie, prozie, poezji zmierzały w połowie wieku dwudziestego do rozbicia realizmu (tym bardziej naturalizmu), do odrzucenia idei mimesis w celu dotarcia do możliwie precyzyjnego języka opisu rzeczywistości, języka, który byłby dla jednych „prawdziwy”, dla drugich „adekwatny”. Obierając, że zrozumiałych przeciwieństw, ten kierunek poszukiwań, sztuka współczesna w olbrzymiej części utraciła swą artystyczność, przestała wzruszać, zdumiewać, zastanawiać, zaniechała tworzenia własnej rzeczywistości wtórnej lub tworzyła świat wtórny tak ubogi, że wyzuty z człowieczeństwa. Dla zaciekawionych tym kierunkiem poszukiwań ważne było i jest śledzenie sukcesów i porażek kolejnych artystów, ale dla ludzi pragnących uzyskać od dzieła sztuki to, co uzyskiwali dawniej, spacer po muzeach sztuki nowoczesnej zamienił się



D. HOCKNEY

w marszobie, lektura antypowieści usypiała po najwyżej dziesięciu minutach, a utwory wielu poetów spotykały się z gestem tolerancji lub zniecierpliwienia.

W takiej jednak sytuacji, (a musimy też pamiętać o motywach i niektórych spośród celów tych samouniceściwiających się wysiłków), niemożliwy był po prostu powrót do sztuki opartej na idei mimesis. Ponadto osiągnięcia badawcze sztuki współczesnej muszą być uwzględnione, mimo, że niezbędne stało się uwolnienie z tego więzienia językowych (w szerokim sensie słowa) problemów. Powrót do sztuki okazał się możliwy poprzez sztuczność i to sztuczność świadomie konstruowaną. I tu przyszła pora na operę.

Wprawdzie po okresie sztuki współczesnej (którą za zdaniem Konstantego Jeleńskiego można właśnie traktować jako kolejny styl w sztuce) niemożliwe jest już odbieranie opery dziewiętnastowiecznej zgodne z intencjami jej twórców, bowiem karkołomne próby stworzenia „bohaterskiej” rzeczywistości budzą tylko uśmiech. A jednak opera jako teren współdziałania wolności i konwencji, nawet dziewiętnastowieczna opera, bardziej opera barokowa po Mozarta i opera współczesna, stwarza szansę na wydobywanie się z więzienia sztuki współczesnej, z jej przymusowego ubóstwa i zarazem na poznanie rzeczywistości nie takiej, jaką ona jest (jaki koń jest, każdy widzi), lecz takiej jaką mogłaby być, rzeczywistości wiary, nadziei i miłości.

Dla Audena tym ważniejsza była szansa stwarzana przez operę, że coraz poważniejsze miał problemy z własną poezją. Nie były to te same kwestie, które zamykały sztuce współczesnej oczy na świat, ale kwestie co najmniej równie istotne. Zanim przyjrzymy się im dokładniej nazwijmy je w jednym zdaniu: piękno toczyło w jego poezji nierówną walkę z prawdą, a kolejne sukcesy prawdy czyniły jego wiersze po prostu mniej atrakcyjnymi dla czytelników.

Po powrocie do Ameryki z Niemiec Auden przez kilka lat wykładał w rozmaitych uniwersytetach. Jesienią 1946 roku prowadził w sławnej nowojorskiej New School for Social Research serię wykładów na temat Szekspira. Na wykłady przychodziły takie tłumy, że — jak ktoś zauważył — mogło się zdawać, że to Szekspir wykłada na temat poezji Audena. Auden stał się w tym okresie postacią nowojorskiego życia intelektualnego. Blisko był związany ze środowiskiem emigrantów niemieckich, które miało niewątpliwie lewicowe skłonności, ale Auden raz na zawsze zaniechał zajmowania partyjnego, politycznego stanowiska.

Zimy spędzał teraz w sławnym nowojorskim mieszkaniu, zagraconym, pełnym niedopalków i porozrzucanych po kątach płyt operowych. Dziwaczał coraz wyraźniej: nieporządkowi w mieszkaniu, niechlujnemu ubraniu towarzyszyły maniakalnie przestrzegany porządek w sprawach finansowych i porządek dnia. Hannah Arendt, z którą się w tych latach serdecznie zaprzyjaźnił i która znakomicie zdawała sobie sprawę, że ma do czynienia z jednym z najwybitniejszych umysłów dwudziestego wieku, bezskutecznie usiłowała mu wythumaczyć, żeby kupił sobie drugą parę spodni, a te które nosi oddał do pralni.

Latem wyjeżdżał regularnie na Ischię, do domu, który wynajmował na cały rok od 1949, i w którym spędzał kilka miesięcy wspólnie z Chesterem Kallmanem. Tam pisał większość poezji, kąpał się w morzu, opalał — co przy jego niezwykle jasnej karnacji mogło spowodować pojawienie się po kilku latach sławnej sieci, niemal mapy zmarszczek na twarzy — tam też wieczorami wygłaszał długie intelektualno-duchowe przemówienia do kilku osób zebranych w kawiarce. Nie było mowy, jak przekonali się co ambitniejsi rozmówcy, o dyskusji. Kiedy ktoś zaczynał przedstawiać własny pogląd, Auden uprzejmie milczał, a potem wracał do swojego wątku. Około dziesiątej, nieco chwiejnym krokiem, wracał do willi położonej poza centrum miasteczka.

Teraz Auden pisał już tylko krótkie wiersze, czasem serie wierszy, które zebrane pod tytułem *The Shield of Achilles* zostały opublikowane w 1955 roku. Większość krytyków była rozczarowana. Wybitny krytyk i poeta Randal Jarrell napisał: „Auden stał się bez wątpienia najbardziej zawodowym poetą na świecie... Ale najbardziej zawodowy poeta niekoniecznie jest najlepszym...”. Auden, jak zwykle, nie przejmował się opiniami krytyków, a kolejne ataki Jarrella skwitował według Stephena Spendera poglądem, że musi to mieć jakiś neurotyczny podtekst, że zapewne „Jarrell się we mnie kocha”. Jednak krytycy nie tyle mieli rację, ile dostrzegali niewątpliwą zmianę, która miała prawo im się nie podobać.

Zmienił się temat poezji Audena. Poszukiwanie obiektywności doprowadziło poetę do zaniechania wszelkich tematów psychologicznych, a nawet takiego spojrzenia na świat, w którym właśnie jego subiektywność, wyjątkowość jest najważniejsza. Coraz częściej pisał o przedmiotach, kamieniach, ogrodach, wyglądach oraz utwory na kanwie liturgii. W jednym z najpiękniejszych cyklów *Horae Canonicae* nie ma ani jednej uwagi dotyczącej emocjonalno-psychicznej sfery religijności. Wprawdzie poezja Audena nie staje się akademicka w przyjętym

znaczeniu tego słowa, ale pojawia się w niej pewien chłód, chłód obiektywności, chłód prawdy.

Znakomity biograf Audena — Hugh Carpenter, przypisuje tę zmianę zakończeniu procesu rozwoju duchowego i uczuciowego. Istotnie, w okolicy 1946 roku Auden przeżył jedyny poważniejszy romans z kobietą, Rhodą Jaffe, romans który upewnił go, że nie jest to jego droga. Przyjaźń z Chesterem Kallmanem okrzepła, mimo że Kallman nie miał najmniejszego zamiaru być wierny. Auden pogodził się więc, czy też musiał się pogodzić z samotnością, czasem przerywaną miłostkami bez znaczenia, czy raczej o znaczeniu czysto seksualnym. Poszukiwania ideowo—polityczne zakończył już dawno, a pobyt w Niemczech po wojnie utwierdził go w przekonaniu, że świat polityki dostarcza tylko okazji do wyborów między rozmaitymi odmianami zła, utwierdził go też w łagodnie pesymistycznym poglądzie na stan rzeczy i na przyszłość kultury europejskiej. A równocześnie niewzruszone stały się jego przekonania i wiara religijna. Burzliwa więc pierwsza dekada amerykańska (1938—1947) doprowadziła do uspokojenia i czterdziestoletni poeta już się nie zmagał, nie walczył, nie szukał



D. HOCKNEY

wielkich odpowiedzi. Bez wątpienia taki stan ducha sprzyjał innej poezji i Auden zaczął pisać inne wiersze, które często nie trafiały do rozjątrzonych, rozgorączkowanych, rozgadanych głów europejskich i amerykańskich intelektualistów. Zdajemy sobie sprawę, że uspokojenie Audena przypada na okres stalinizmu, zimnej wojny, dynamicznego rozwoju partii komunistycznych we Francji i Włoszech, wielkich sporów o rolę Związku Radzieckiego, o „koniec wieku ideologii”, o zaangażowanie intelektualisty. W jego twórczości poetyckiej, ale także w jego coraz liczniejszych esejach, nie znajdziemy ani jednego słowa na te tematy. Przymuszony, stwierdzał oczywistości: że jest za wolnością, tolerancją, demokracją. Ale zawsze niechętnie i z przekąsem. Zrozumiałe więc, że dla wielu współczesnych poezja Audena, która jeszcze przed dziesięciu, przed kilkunastu laty skupiała problemy epoki, stała się nazbyt odległa, „zawodowa”, czasem żadna. Precyzyjna i fachowa służy teraz przede wszystkim poznaniu. Wielki talent do słów, łatwość, którą wszyscy tak podziwiali i której zazdrościli Audenowi, została skierowana na pracę innego rodzaju.

Można oczywiście zadać pytanie: skoro tak, to dlaczego Auden w dalszym ciągu pisał wiersze, dlaczego nie poprzestał na operze z jednej i eseistyce z drugiej strony. Pytanie takie byłoby uzasadnione a wątpliwości słuszne w stosunku do poety, który wiersze uważa za formę ekspresji. Auden wszelako poezję swoją miał za „memorable speech”, tworzenie świata wtórnego, w którym gotowy już utwór ulega całkowitej obiektywizacji. Auden „maker”, czyli „stwarzacz”, stwarzał nowe elementy świata wtórnego nie dla celów estetycznych lecz dla celów poznawczych. Owe liczne bukoliki, ogrody i opisy wnętrza domów, ów powracający od sławnego wiersza „Good—Bye to the Mezzogiorno” system porównań i zestawień północy z południem, melancholii ze szczęściem, Walpurgisnacht z radosnymi procesjami na południu odbywanymi na cześć licznych lokalnych świętych

— wszystko to zmierza ku intensyfikowaniu opisu świata, ku poznaniu coraz dokładniejszemu, coraz bardziej precyzyjnemu elementów w presokratejskim rozumieniu słowa. Woda i ogień, powietrze, słońce, kamień, mrok, diabły i anioły — oto składniki, z których budowany jest świat wtórny.

Ludzka obecność zarówno w świecie pierwotnym jak i w świecie wtórnym poezji Audena nabiera teraz zupełnie odmiennego charakteru. Nie jest to obecność niepokojąca, brak napięcia, które wprawiałoby poezję w ruch. To nie ludzie inspirują, fascynują, każą pamiętać lub zapominać o świecie. Ludzie, ich uroda i ich czyny są jednym z elementów, przedmiotów miłości i dobroci, przyczyną zasmucenia lub radości, lecz na równi z innymi elementami. Poezja Audena — i to zapewne spowodowało zakłopotanie a czasem niezadowolenie krytyków — przestaje być intensywna. I w tym tylko sensie, jeżeli komuś intensywność nieodłącznie wiąże się z pięknem, przestaje być piękna.

W 1957 roku Auden otrzymał poważną włoską nagrodę literacką w wysokości około 33 000 dolarów. Postanowił kupić dom na Ischii, ale niesnaski ze służącym oraz coraz większa sława Ischii jako punktu zbornego angielskich homoseksualistów sprawiły, że rozmyślił się. Dzięki przyjaciółm kupił wreszcie dom pod Wiedniem (około 40 kilometrów) na tyle blisko, żeby bez kłopotu dojeżdżać do Opery Wiedeńskiej. Dom we wsi Kirchstetten był niewielki, ale został wygodnie urządzone i Auden spędzał w nim wiele czasu do końca życia. Dzień w Kirchstetten był precyzyjnie zorganizowany. Auden wstawał około wpół do siódmej i pracował w swoim pokoju na górze do jedenastej. Schodził wtedy na dół i jeżeli byli goście zabierał ich na małą wycieczkę do wsi, do gospody na kielbasę i piwo. Na lunch wracano do domu, a jedzenie, które gotował Chester Kallman było znakomite, Kallman był biegły we wszystkich rodzajach kuchni. Po lunchu, kto chciał mógł się położyć, Auden nigdy tego nie robił — „mamie by się to nie podobało” wyjaśniał — i wracał do pracy lub czytał książkę. Przed lunchem pił dwa kieliszki wytrawnego vermouthu. Po pracy, około czwartej spacer i dokładnie o wpół do siódmej pierwsze martini. Martini było przygotowywane z zachowaniem pełnego rytuału. Jeszcze przed lunchem wstawiano wódkę i szklanki lodówki. Vermouth — najczęściej Noilly Prat — dodawano do wódki w proporcjach jeden do trzech. Było to, jak powiedział jeden z gości, najmocniejsze martini na świecie. Do obiadu wiele wina — Valpolicella najczęściej, a po obiedzie znowu

wino i słuchanie płyt. Około wpół do dziesiątej Auden spoglądał na zegarek i oddalał się do butelki wina do swojego pokoju. Tam chwilę czytał, wypalał kilka papierosów, pił wino i zasypiał około jedenastej.

Auden stawał się coraz bardziej maniacko zorganizowany i obsesyjny. Nie pozwalał gościom na używanie więcej niż jednego kawałka papieru toaletowego, odmawiał poczęstowania papierosem, ale nie wpływało to na skąpstwo. Kiedy w 1956 roku, będąc w Nowym Jorku przeczytał rano w gazecie, że Doris Day, znana katolicka działaczka społeczna, została skazana przez sąd na grzywnę w wysokości 250 dolarów za to, że prowadzony przez nią przytułek nie spełniał jakichś wymagań przeciwpożarowych, natychmiast wsiadł w metro i wręczył Doris Day czek, mówiąc „oto dwa pięćdziesiąt”. Doris Day podziękowała raczej obdarto wyglądającemu mężczyźnie i dopiero w domu zorientowała się, że to czek na całą sumę.

Pewna obsesyjność ujawniała się także w stosunku Audena do polityki. Miał kilka generalnych propozycji, które z uporem wszystkim powtarzał: światem powinny rządzić tylko kobiety, albo też przewodców należałoby wybierać przez losowanie z całego społeczeństwa, a o wszystkich poważniejszych sprawach decyzje powinny być podejmowane w drodze referendum. W sumie jednak poglądy Audena były w części konserwatywne — odnośnie religii i kultury, w części liberalne — odnośnie życia publicznego: „Chociaż liberałowie są mało atrakcyjni i powierzchowni — pisał — to jednak w stosunku do konkretnych spraw życia społecznego bardzo rzadko się mylą”. Bardzo poważnie natomiast traktował swoje poglądy na rolę artysty w społeczeństwie. Powtarzał, że żaden wiersz nie uratował ani jednego Żyda w czasie wojny, ani nie zmienił nawet na jotę losów świata, ale za główne „polityczne” zadanie pisarza uważał obronę języka przed zakusami współczesnego

dokończenie na s. 6

Marcin Król

## Bardzo wścibski starszy gość (4)

dokończenie ze s. 5

świata. W tym zakresie bliski był poglądom George'a Orwella przedstawionym w znanym eseju „Polityka i język angielski”. Język nieprawidłowy i nieprecyzyjny łatwo poddaje się manipulacji propagandowej, polityka celowo niszczy język, aby tym łatwiej otumanić ludzi. Powtarzał za Karlem Krausem: „Mowa jest matką a nie służącą myśli”.

Intensywne życie, nieprawdopodobna ilość papierosów i alkoholu, stałe, nieśląjące napięcie umysłu — wszystko to nie sprzyja długowieczności ani tak zwanej spokojnej starości. Niebywała twarz Audena także świadczyła o jakiejś formie zużycia się organizmu. Toteż ostatnie lata życia Audena nie były tak płodne artystycznie jak poprzednie czterdziestolecie. Wprawdzie ledwie przekroczył sześćdziesiątkę, ale zachowywał się często jak stary człowiek, powtarzał nieskończoną ilość razy te same historie, coraz dziwniej się ubierał i coraz gorzej znosił samotność. W 1970 roku nieoczekiwanie zaproponował małżeństwo Hannah Arendt, której mąż niedawno zmarł. Arendt miała dla Audena wiele podziwu i wiele ciepłych uczuć, ale na takie małżeństwo naturalnie nie miała najmniejszej ochoty. Wiosną i lato spędzał poeta w Kirchstetten w towarzystwie Chestera Kallmana, i to były stosunkowo dobre okresy, ciążyły mu natomiast jesień i zima w Nowym Jorku. Kallman nie chciał mu towarzyszyć, spędzał zimę w Grecji i Auden po pewnych nieporozumieniach i licznych trudnościach został jedynym i niezakceptowanym przez Christ Church College w Oksfordzie jako rodzaj rezydenta.

Auden był zachwycony powrotem do miejsca, gdzie studiował i mimo że nie było to jego obowiązkiem, był gotów rozmawiać i pomagać studentom. Codziennie o czwartej po południu zjawiał się w kawiarni położonej w pobliżu college'u.

Atmosfera na uniwersytecie była już jednak inna i niewielu studentów interesowało się tym, co mógł im powiedzieć starzejący się poeta. Wieczorem Auden niezmiennie zjawiał się na kolacji w klubie (Common Room) dla profesorów college'u. I tu było inaczej — większość szybko zjadała kolację i zniknęła. Auden nie bardzo mógł liczyć na tak potrzebne mu wieczorem towarzystwo. Przyjaciele, którzy odwiedzali go w Oksfordzie lub których spotykał w czasie licznych podróży z prerażeniem dostrzegali ten rozpad wielkiego człowieka. Zmusili go do poddania się badaniom w szpitalu, ale nic z nich nie wyniknęło, w zasadzie wszystko było w porządku, a sam Auden powtarzał, że dożyje osiemdziesięciu trzech lat, chociaż dodawał z wiaściwą mu zdumiewającą przenikliwością, że umrze zapewne w hotelu, sprawiając wiele kłopotu, ale jego to już nie będzie obchodziło.

I tak też się stało. 28 września 1973 roku Auden miał w Wiedniu wieczór poetycki, potem odmówił zjedzenia kolacji z austriackimi pisarzami, był zmęczony. Prosił o odwiezienie do hotelu. Kiedy następnego ranka Chester Kallman zapukał do jego pokoju nikt mu nie odpowiedział. Otworzono w końcu drzwi na siłę. Auden był już martwy, zmarł zapewne poprzedniego wieczoru. Pogrzeb odbył się zgodnie z wolą pisarza w Kirchstetten. W półtora roku później zmarł Chester Kallman.

dokończenie ze s. 3

nipulować. Na dodatek sfera zmyśleń, jaka spowija ludzką historię, jest olbrzymia. Z tego względu takie wydarzenia jak rewolucja francuska, nie mówiąc o sowieckiej, można interpretować na zupełnie sprzeczny ład.

— Ale dotyczy to chyba raczej obrazów przeszłości, a nie samej przeszłości.

— Naturalnie, ale przecież przeszłość poza obrazami nie istnieje. Nie można przeszłości Oświęcimia zaktualizować inaczej, aniżeli poprzez fotografie, dokumenty, straszliwe zbiory przedmiotów pozostałych po ludziach tam zamordowanych. Nie możemy tego wskrzesić in toto.

— Czy wiedza historyczna może być przydatna w rozpoznawaniu kształtów przyszłości?

— Jeśli chodzi o rozwiązywanie dylematów, jakie przynosi koniec stulecia, to myślę, że bardzo mało można nauczyć się od historii. Możliwe są jakieś rezurekcje — moja żona na przykład poważnie obawia się wojny religijnej islamu przeciw białym — ale one także będą wymagały zupełnie nowego podejścia. Niestety, niewiele możemy wynieść z przeszłości rad roztropnych, ze względu na to, że ten świat tak straszliwie się zmienia.

Globalne przyspieszenie — począwszy od zjawisk politycznych, kończąc na meteorologicznych — wywołuje rozmaite próby powstrzymania biegu wydarzeń. O ile w dziedzinie ekologii jest to korzystne, o tyle w polityce może się to skończyć tragicznie. Najlepszym przykładem są tu próby ratowania imperium sowieckiego, moim zdaniem skazane na niepowodzenie, które mogą przynieść ogromne koszty w postaci ludzkiej krwi. Jak powiedział Marks — on nie wszystko głupio mówił — klasa, która przegrywa, nie schodzi bez walki z areny historii. Ale trudno — żyjemy w okresie przyspieszenia, które prowadzi do zderzeń. A te miewają złe skutki.

— Zasadniczym układem odniesienia Pana pisarstwa jest nauka. Jak odnosi się Pan do bardzo modnych w ostatnich latach prób łączenia nauki i mistyki, dokonywanych na przykład przez Davida Bohma czy Fritjofa Caprę?

— Na początku czytałem dokładnie „gnozę z Princeton”, ale w końcu przestałem. Kiedy widzę, że coś nie bardzo ma sens, nie wglębiam się dalej w ten przedmiot. I tak jestem przywalony lawiną rzeczy ważniejszych, których nie zdołam za życia przeczytać.

Orientuję się więc trochę w tych zagadnieniach, ale jestem zdecydowanym przeciwnikiem tego rodzaju prób łączenia ognia z wodą, ponieważ one niczego nie dają, oprócz satysfakcji ludzi, którzy lubią groch z kapustą. W zakresie poznania — a przecież nauka ma służyć poznaniu — takie pomysły są bezużyteczne. Stoję na stanowisku klasycznego kanonu empirii, zgodnie z którym nauka powinna dawać rezultaty falsyfikowalne czyli wywrotne w doświadczeniu. Natomiast rozmaite historie, które nas mogą wzruszyć, to jest liryka, a nie nauka. Jak mówił Carnap, są to zdania, które w kategoriach logiki symetrycznej nic nie znaczą. To są ozdóbki na drzewku choinkowym.

Oczywiście, istnieje cała masa zjawisk zagadkowych i niezrozumiałych, jakie wykrywa nauka. Im więcej się dowiadujemy, tym więcej nie wiemy. Przestrzeń ignorancji rozszerza się szybciej niż przestrzeń wiedzy. Mimo

to historia nauki pokazuje, że obszary naszej ignorancji częściowo i z wolna jednak ulegają zapełnieniu. Wciąż przecież upadają święte prawdy.

Jestem przeciwnikiem mieszania mistyki z nauką także z tego względu, że prowadzi to często do bardzo niedobrych rezultatów, na przykład do fundamentalistycznego traktowania ewolucji. W ogóle wraz z mistyką pojawia się interwencja kreacyjna, a wtedy nauka może spakować manatki i pójść do domu, ponieważ nie ma dla niej już nic do roboty. Pojęcie boga w obrębie nauki niczego nie tłumaczy. Eddington na przykład mówił, że Pan Bóg jest matematykiem. No to co? Z tego nic nie wynika. Po pierwsze wcale nie zbliżamy się do zrozumienia Pana Boga, jeśli ustalimy, że jest on krewnym wielkich matematyków. A po drugie nie dowiadujemy się niczego nowego o matematyce. Znacznie ciekaw-

Stanisław Lem

## Homo sapiens stultus

szcze byłoby udzielenie odpowiedzi na pytanie, dlaczego matematyzacja zjawisk pozwala na ich sensowną klasyfikację i kategoryzację. Trzeba wyraźnie oddzielić nieweryfikowalną i niepodległą wywrotności filozofię nauki od prywatnych hocków-klocków ludzi, którzy są uczonymi, ale niespodziewanie wybierają się na tereny mistyki.

Uważam więc łączenie mistyki z nauką za aberrację. Jednocześnie zdaję sobie sprawę, że skłonność do dziwnych przeskoków na stronę irracjonalizmu jest obecnie bardzo silna. Masowa literatura w krajach jak najbardziej pragmatycznych, kapitalistycznych i realistycznych jest naszpikowana rozmaitymi historiami o wściekłych buldożerach i zwiariowanych maszynach do prasowania. Wszyscy nagle zaczęli odczuwać potrzebę du-



ZBIGNIEW WALISZEWSKI

chów. Przede wszystkim jest to efekt wielkich postępów laicyzacji i desakralizacji w świecie zachodnim. Pojawiła się jakaś próżnia, *horror vacui*. Ludzie rozmawiali tak: *Ubiemy się w skórzane kurtki, kupimy sobie jogurt owocowy, napijemy się, a potem pojedziemy na dziwki — i już!* Okazało się jednak, że to nie wystarczy. Jednak chciałoby się wypełnić życie jakimś wyższym sensem. Ale skąd go wziąć? Kościół jest już za stary, więc zabawimy się w jakieś wschodnie jogi, albo jakieś prany, albo urządzimy sobie buddyjskie tańce. Ale dobrać to można sobie krawat, a nie wiarę!

— Czy Pan uważa siebie za człowieka religijnego?

— Nie. Nie wierzę w Boga osobowego. Natomiast sądzę, że jesteśmy zbudowani z rozmaitych zagadek i tajemnic, których ludzkość jeszcze przez bardzo długi czas nie będzie w stanie rozjaśnić. Czym innym jest zrozumieć pewne mechanizmy, a czymś zupełnie innym jest wciąż dziwić się — tak jak ja — że stało się właśnie tak a nie inaczej. Dlaczego Wszechświat jest taki a nie inny? Dlaczego to wszystko wygląda tak dziwnie? Dlaczego co jakiś czas musimy radykalnie zmieniać paradygmat nauki, a o wdarciu się na szczyt poznania nie ma mowy? Mogę powiedzieć, że to zadziwienie jest pokrewne religijności, chociaż nie wiąże się z żadnym konkretnym wyznaniem. Człowiek stoi przed wielkimi znakami zapytania, ale w moim wypadku odpowiedziami, jakie przynosi wiara, towarzyszy głębokie uczucie niedosytu i niedostateczności.

— Jak, Pana zdaniem, przedstawia się globalny bilans mądrości i głupoty ludzkiej?

— Ostatnio miałem ochotę napisać recenzję z nie istniejącej książki pt. *Głupota jako czynnik napędowy ludzkich dziejów*. Kiedy patrzy się wstecz na najstraszniejsze kataklizmy, wojny, rewolucje, to widać, że wszystko to było zupełnie niepotrzebne. Przeważnie było tak, że nikt nic z tego nie miał. Niestety, mam wrażenie, że ludzie działają bardzo intensywnie na własną szkodę.

Najważniejsza jest hierarchizacja: co jest sprawą pierwszoplanową, a co ma znaczenie drugorzędne. Nawet Kościół ma niemądre i nieroztropne podejście do pewnych spraw. Jakkolwiek kocham Papię to jednak uważam, że powinien więcej interesować się polityką, a mniej tym, co dzieje się w łóżkach, ponieważ jest to sprawa drugorzędna w obliczu straszliwych zagrożeń jakie stoją przed światem. Nie można uznawać za jednakowo ważne kwestie doktrynalnej akceptacji środków antykoncepcyjnych i faktu, że czterdzieści tysięcy dzieci codziennie umiera z głodu. Ja się czuję zgorszony, kiedy jakiś ksiądz profesor pisze w *Tygodniku Powszechnym*, że trzeba ochraniać życie poczęte. No to ochraniajcie to życie poczęte! Ale nie tylko w momencie, gdy się ono poczyta, lecz także po przyjściu dziecka na świat.

Według tablicy Linneuszowej pełna nazwa człowieka brzmi: *homo sapiens sapiens*, a moim zdaniem powinna brzmieć: *homo sapiens stultus*. Właśnie dlatego, że człowiek jest mądry, może sobie pozwolić na głupotę. Kiedy na przedwiośnie przymrozki ścięły mi związki kwiatów na czeresniach, to nikt nie mówił, że drzewa są głupie. Stało im się. Drzewa nie mogą być głupie, ponieważ nie mają czym myśleć. Głupi może być tylko człowiek. Posiadając rozum i zdolność przewidywania, człowiek powinien postępować wedle przewidywań. To się prawie nigdy nie zdarza. Przecież zgodnie z racjonalnymi przewidywaniami Polacy nie powinni byli wybrać Wałęsę na prezydenta w takich złych czasach. I wybrali.

Rozmawiał: Adam Michajłow

Dorota Jarecka

# Brooklyn

**N**a Coney Island pojechaliśmy w sobotę. Po prostu chciałam zobaczyć coś płaskiego. Odwrócić się od Manhattanu. Manhattan widziany od środka to halaśliwe, zatłoczone miasto. Można stracić poczucie gdzie się jest. Są ludzie, którzy z zamkniętymi oczami powiedzą, gdzie jest downtown i uptown, ale nigdy nie byli na Brooklynie. Nie wiedzą, gdzie jest ocean, a przecież Nowy Jork leży nad morzem.

Ulicami przebiega wilgotny wiatr. Niedaleko Brooklyn Bridge, pięć minut od Wall Street port rybacki, śmierdzi rybami.

Jakaś biedna uliczka biegnie prawie do samej plaży. Zatrzymaliśmy samochód przed tabliczką END – jak na amerykańskim filmie. Wyszliśmy na piasek. Na piasku mewy – krzyczą. Jakieś wielkie. Jedna szczególnie utuczona ociężała podbiega do lotu.

Wzdłuż plaży ciągnie się drewniany taras – deptak taki jak w Sopocie. Teraz pusty, kilku przechodniów, głównie żebracy albo narkomani. Wzdłuż deptaku wszystkie sklepy, kawiarnie pozamykane, tylko jeden tandetny bar z pocztówkami na ścianie, otwarty, przy stoliku śpi pijak...

Jak popatrzeć wyżej ponad te baraki, na chwilę traci się oddech. Naprzeciwko oceanu stoi nieruchome, wielkie wesołe miasteczko. Zamknięte o tej porze roku, groźne, nastroszone, zagapione w wodę. Któreś z urządzeń wyje, jakby cierpiało od uderzeń wiatru. Kilku dziesięciometrowa wieża z podwieszonymi linami od huśtawek. Karuzela wielkości kamienicy. Gigantyczne, poskręcane kilka razy tory kolejkowe. Obok nas, koło siatki – pelikan na postumencie – z otwartym dziobem – pewnie śmietnik. W środku tego kramu budka telefoniczna z wyrwanym telefonem.

Trzeba przyznać – Nowy Jork kończy się patetycznie. Podobno pod koniec czerwca, kiedy otwierają te wszystkie atrakcje i zaczyna się lato, przez Coney Island przeciąga parada, w której bierze energiczny udział tutejszy awangardowy zespół muzyczny „Coney Island Hysterical Society”. Członkowie tego zespołu pochodzą z sąsiedniej dzielnicy, którą zamieszkuje żydowski emigranci ze Związku Radzieckiego. Nazywają tę dzielnicę „Little Odessa”.

Główną arterią Małej Odessy jest ulica Brighton Beach, nad którą oparty na żelaznej konstrukcji ciągnie się trakt metra. Dołem sunie gęsty tłum. Pod ścianami zalegają ludzie. Na ścianach napisy – angielskie, żydowskie, rosyjskie. Z daleka, w głębi ulicy, widać wielkie litery – *Kniznyj Magazin Czornoje Morie*. To nas przyciąga. Na półce cienka książeczka – w kilku egzemplarzach – widać popularna – *120 bliud iz kartofeli* (\$6.50). Nie kupuję, nawet dla żartu.

Za to w sklepie można dostać tanio słodkie bułki z makiem. Wozmitie szóst, siem, wosiem! Sprzedawca wypycha nam potworne ilości tych bułek. Targujemy się.

Wszędzie rosyjskie twarze, rosyjskie ubrania, jakiś specjalny radziecki, czy ogólnosocjalistyczny styl, który trwa z uporem nawet tu, w Ameryce, a w Związku Radzieckim przeżyje pewnie wszystkie zmiany ustroju.

Z restauracji przy głównej ulicy wychodzi kelnerka w mini-spódnicy. Potężne nogi, uwiecznione w błękitnych pantoflach na wysokim obcasie, bez pięt, chociaż to listopad.

Wchodzimy, pusto kompletnie, jakaś para pod ścianą siedzi przy kawie, gapią się... Podchodzi kelnerka, zamawiam – po rosyjsku – coś do picia, mówię, że się jeszcze nie zdecydowałam, czekam co będzie dalej. Za chwilę podchodzi już na dobre zdenerwowana. Stoi nade mną. Ja w panice proszę o cokolwiek – Izraelskiej salady – bakłażan z majonezem. Ona odchodzi, siada w kącie, zapala papierosa, gada z facetem. Skąd ja to znam – kelnerki przy stoliku służbowym, ćmią papierochy. Przy nich zawsze jakiś facet w płaszczu. We wnętrzu panuje typowy radziecki styl dekoracyjny.

Żadnego okna, przyćmione światło, na ścianach lustro i witraże. W głębi, w czarnej niszy spoczywają instrumenty. Na Coney Island są podobno znakomite dansingi. Przyjeżdżają tu czasem nawet intelektualisci z Manhattanu, by się zabawić, coś wypić i zażyć trochę folkloru. Bill Jones – mój znajomy z „Arts Magazine”, człowiek skryty i tajemniczy zna te miejsca. It is wild – mówi. To jego „wild” znaczy coś więcej niż polskie „dziko”. Jest w nim coś perwersyjnego i fascynującego. Coś z miejscowej historii.

Ja mieszkam na Williamsburgu – to jest dzielnica Brooklynu u wylotu Williamsburg Bridge – trzy przy-

stanki od Manhattanu. Mieszkam w dwudziestopiętrowym bloku z wielkim kominem na dachu. Z okna, jak za Żelazną Bramą, mam widok na parking i na inne bloki. Tylko w oddali zamiast Pałacu Kultury migają światelka Empire State Building. Dobrane według kolorów amerykańskiej flagi, skupiają się na szczycie w kształt czapy. I tak w nocy nad miastem unosi się wielka czapa. Koło trzeciej nad ranem gaśnie. Miasto znika.

W moim bloku mieszkają Chińczycy, Murzyni i Latynosi. Szyba w windzie podziurawiona – ślady jak od strzałów, ale nikt nie zwraca na to uwagi, nikt tego nie naprawia. Ja zresztą nie boję się. Chodzę na spacer po Williamsburgu, jeżdżę metrem, chociaż wszyscy ostrzegają. Na Marcy Avenue wsiadają chasydzi. Pięknie poubierani, w wysokich czarnych czapkach, w długich płaszczach. Czytają, zamyśleni, oddzieleni od świata.

Nowojorskie pismo „Jewish Press” drukuje co tydzień spis sklepów, które muszą zapłacić karę – 300 dolarów – za sprzedawanie produktów niekoszernych jako koszerne. Koło mnie jest dużo takich sklepów: „Kosher and non kosher”. Można kupić wszystko, ale mięso i sery nie są smaczne. Jest też coś, o czym nigdy się już nie dowiem z czego zostało zrobione. Opis na pudełku składa się z samych zaprzeczeń – No cholesterol, no fat – cream cheese imitation. Nigdy się nie dowiem co to jest. W smaku przypomina ser.

To jest Williamsburg. Wystarczy jednak wsiąść do metra i pojechać trochę w górę Brooklynu, by wszystko było inne.

Tam jest Greenpoint – albo, jak mówi mój znajomy z Waszyngtonu – „Grinpolit” – polska dzielnica.

Już w pociągu charakterystyczne twarze. Czapeczki, kurteczki, szefunio, problemy. Ludzie w dzinsach. Wsiadamy na stacji Nassau.

W kiosku polskie gazety – „Nowy Dziennik”, „Gwiazda Polarna”, poźółkła „Gazeta Wyborcza” z zeszłego tygodnia. Na rogach ci sami faceci bez uśmiechu z napięciem w twarzach. Postoją, przesuną się trochę, zakurzą, załatwią interesy. Nad sklepami napisy: „Obuwie”, „Galanteria”, „Kielbasy, kiszki”, albo „The best kielbasy in the USA”. Żadnego baru, szukamy restauracji, bezskutecznie, po drodze, jak na złość same agencje turystyczne i apteki. Na głównej ulicy Greenpointu – Manhattanie – sklep z pamiątkami „Zakopane”, ale na wystawie nie wiadomo dlaczego lekarstwa – w dodatku węgierskie. Trochę lalek krakowskich, przedmioty z drewna, kryształ, naręcza suszonych grzybów, buty dziecięce, ale jakieś stare, jakby już używane. Obok ludowe rosyjskie lyżki.

W końcu znajdujemy coś w rodzaju jadalni – właściwie stolówki, która reklamuje polskie obiady. Na ścianach widoczki z Tatr, na stołach czerwona cerata. Przynoszą nam buraczki, kapustę, schabowego. I nagle ten schabowy, panierowany, właśnie tutaj w Nowym Jorku, we wtorek wydaje mi się nagle gwałtownie, niepowstrzymanie nudny. Przypuszczam, że czegoś podobnego doświadczają ci Rosjanie, którzy zwiedzając Brooklyn znajdują się nagle przy stoliku w restauracji „Zodiak” albo „Odessa”.

Jesienią na Greenpoint wydarzyła się katastrofa. W nocy z soboty na niedzielę zniszczono pomnik księdza Jerzego Popiełuszki. Ktoś przechodząc rano koło parku



Mc Carren zobaczył pomnik bez głowy, rozsypane szkło, a głowę z odtłuszczonym nosem i policzkiem obok w koszu na śmieci. Na pomniku napis: ZA LENINA I STALINA. Obwinęto pomnik niebieską ceratą. Policja wszczęła dochodzenie, nie wiadomo jednak ciągle co, kto i dlaczego. W środowisku polskim oburzenie, wstrząs. Na pomnik zbierano pieniądze od kilku lat.

Znaleźliśmy się na Greenpoint w dwa dni po wypadku. Ciemno, pod pomnikiem tłumek. Przyjeżdża ekipa telewizyjna, oświetlają pomnik reflektorami, wyjmują kwiaty zza sznurka, zrywają ceratę. Odsłania się kaleki korpus. Ktoś przemawia do kamery. Nic nie słycać, słowa uciekają na wietrze. Zbiera się coraz więcej ludzi. „Hańba, wstyd” – odzywają się głosy. „Niemożliwe, to nie Polacy, Polak by czegoś takiego nie zrobił”, „A jak to nie Polacy, przecież po polsku napisane!”. „No to może dzieciaki znarkotyzowane”, „Może pijacy, przecież szkło rozbite znaleźli, a poza tym kto to wymyślił, żeby pomnik stawiać tam, gdzie po nocy pijani przychodzą i leżą”. „Komuniści się mszczą”. W końcu podchodzi jakiś człowiek, skulony, zacięty. „Jacy komuniści – mówi – to Żydki wszystko, Żydki to zrobiły, mało ich tutaj?” chwila ciszy, słucham uważnie: „przecież ten Stalin i Lenin to też Żydki!”.

## Don Kichot spotyka Mussoliniego i wyjaśnia mu że poprawianie świata nie ma większego sensu

chciałoby się być leworęcznym magiem żeby umiejętnie zebrać do kupy te rozchowane fragmenty odczytując nawet byle jaki sens tymczasem trzeba wlec się po śmierdzącej hiszpanii pachola rżnąc za przyjazną duszę i taki to smutny kraj ta hiszpania gdzie tylko tracę wiarę w moje rycerskie cnoty bo męczy mnie podróż do której nigdy nie miał skłonności i tak naprawdę nie bawi mnie walka i nienawidzę ludzi ale o nich mniejsza dlatego powiadam chciałbym zostać magiem sam będąc ledwie przyglupim włóczęgą nie mającym do kogo otworzyć gęby tu na tym parszywym gościńcu wiele zrozumiałem udając idiotę a teraz jadę umrzeć bo już nic tu po mnie

Krzysztof Jaworski



ADAM HOFFMANN

Edmond Jabés

# Księga Pytań

Na progu książki

Zaznacz czerwoną zakładką pierwszą stronę książki, gdyż rana jest niewidoczna z początku.  
Reb Aleé

1

„Dałem ci moje imię, Sarah, i jest to droga bez wyjścia”

(Journal de Yukel)

„Krzyczę. Krzyczę Yukelu. Jesteś my niewinnością krzyku”

(Journal de Sarah).

2

- Co się dzieje za tymi drzwiami?
- Szeleszczą stronicie książki.
- Jaka jest historia tej książki?
- Zdobycie świadomości krzyku.
- Ale widziałem jak wchodzili rabini.
- Przychodzą, po kolei, podzielić się myślami pierwszych czytelników.
- A czytali książkę?
- Czytają.
- I dla przyjemności już teraz zabierają głos?

- Mieli przeczucie książki. Przygotowali się, aby stanąć z nią twarzą w twarz.
- Czy oni znają bohaterów
- Znają naszych męczenników.
- Gdzie jest książka?
- W książce.
- Kim jesteś?
- Strażnikiem domu.
- Skąd przychodzisz?
- Błąkałem się.
- Yukel to twój przyjaciel?
- Jestem podobny do Yukela.
- Jakie jest twoje przeznaczenie?
- Otwórz książkę.
- Czy jesteś w książce?
- Moje miejsce jest na progu.
- Czego próbowałeś się nauczyć?
- Czasem zatrzymuję się na drodze źródeł i pytam znaki, świat moich przodków.
- Przenikasz odnalezione słowa.
- Moje noce i poranki sylab, tak.
- Błądzisz.
- Idę już dwa tysiące lat.
- Nie nadążam za tobą.
- Już nieraz chciałem sam zrezygnować.
- Czy stoimy przed opowieścią?

- Tyle już razy opowiadano moją historię.
- Jaka jest twoja historia?
- Nasza na tyle, ile jest nieobecna.
- Słabo cię rozumiem.
- Słowa mnie rozszarpują.
- Gdzie jesteś?
- W słowach.
- Jaka jest twoja prawda?
- Ta, która mnie rozdziera.
- A ocalenie?
- Zapomnieć własne słowa.
- Czy mogę wejść. Już ciemno.
- Ognik pali się w każdym słowie.
- Czy mogę wejść? Ciemno się robi wokół mojej duszy.
- Wokół mnie też czarno.
- Jak możesz mi pomóc?
- Twoja szansa jest w tobie.
- Poezja, która dąży do samej siebie jest tylko okazywaniem pogardy.
- Człowiek jest połączeniem i miejscem zapisanym.
- Nienawidzę tego co jest wymawiane tam, gdzie już nie jestem.
- Zamieniasz przyszłość, dopiero co wyłożoną. Zostaje ty bez ciebie.
- Przeciwwstawiasz mnie mnie samemu. Z tej walki nigdy nie wyjdę zwyciężając.
- Klęska jest ceną, na którą się zgadzam.
- Jesteś Żydem i tak się wyrażasz.
- Cztery głoski (JUIF), którymi jestem naznaczony, są twoimi czterema palcami. Zostaje kciuk, żeby mnie zgnieść.
- Jesteś Żydem i tak się wyrażasz. Zimno mi. Jest ciemno. Pozwól mi wejść do domu.

- Lampa stoi na moim stole i dom jest w książce.
- Zamieszkać wreszcie w domu.
- Pójdiesz za książką, której każda strona jest przepaścią, a skrzydło łni wraz z imieniem.
- Obcy, z książką małego formatu, pod ramię
- Ten który przychodzi, do nas, jest obcym.
- Po czym go poznajesz?
- Po oczach, po uśmiechu, po sposobie chodzenia.
- Nie widzę w nim nic takiego, co nie byłoby przymiotem nas wszystkich.
- Przyjrzyj mu się. Zrozumiesz.
- Nie spuszcza z niego oczu.
- Nieskończoność zawdzięcza spojrzenie krótkowidza; przeszłość pogrzebaną w jego pamięci - zraniony uśmiech, uśmiech po prądawnej ranie; lękowi, nieufności - niewątpliwie powolność kroku. Wie, że ucieczka jest uludą. O! Zatrzymuje się, myśli, waha.
- Rzeczywiście nie wygląda na zdecydowanego. Niezręczny, objaja się o przechodniów, besztaja go głośno. O tej porze tłum przelewa się bulwami Saint-Germain. Atrakcyjne wystawy księgarń „La Hune” niezbyt go jak widać interesują. A przecież na widocznym miejscu jest tu wystawiona cała najnowsza produkcja literacka, prawie w komplecie. Luksusowe książki o sztuce też przyciągają wzrok.
- Wcale nie. Musiał nawet niektóre przeglądać. Nie może przejść obok księgarń i do niej nie wejść. Mówił mi to nieraz.

„W czasach Inkwizycji niektórzy z nawracanych przemocą Żydów przepisywali w maleńkiej książeczce to, co najistotniejsze w obcowaniu z Bogiem. Tę małą książeczkę przechowywali w kieszeni wykonanej w luźnej podszewce lewego rękawa. Jeśli zdarzyło się, że aby ratować życie, musieli iść do kościoła, klękać i mamrotać modlitwy, wtedy prawą ręką mogli gładzić schowaną w rękawie książkę. I to było dla nich pokrzepieniem, i to zbliżało ich na powrót do własnych początków. Dla mnie ta mała książeczka zawierająca najistotniejsze, jest ostatnią książką.”

Łączy nas książka.

Jak nie dostrzec w ostatniej książce Edmonda Jabésa pokrewieństwa z tą małą książeczką, którą Żyd, Obcy gładził z umiłowaniem i przechowywał ryzykując życiem? *Obcy, z książką małego formatu pod ramię*, książka zrodzona z pragnienia syntezy, jest zarówno przedłużeniem *Księgi Pytań*, jak i próbą określenia tego, co najistotniejsze w dziele będącym nieustannym zapytywaniem. Ta książka prowadzi od pytania do pytania, od milczenia do milczenia. Jest książką wątpliwości, opisem intymnego zawirowania świata i słów. Przypomina o szczególnym charakterze lektury w tradycji hebrajskiej, tradycji przywiązanej do litery, blisko z nią obcującej. Nie zezwała ona na przyjęcie sensu wynikającego z pierwszego czytania tekstu i stosuje to, co tradycyjna hermeneutyka nazwałaby „wymuszaniem” („forsage”). Istotne są tu bowiem miejsca niezapisanie, miejsca między literami sprawiające, że pełny sens nie mieści się w samym tylko tekście i należy wyłonić z jego dosłowności to, co nie zostało dostrzeżone. Ujawnia się w tym zasadnicza wieloznaczność Słowa niosąca niebezpieczeństwo manipulacji, fałszerstwa, nieporozumienia. Nie można brać słowa dosłownie. Interpretacja okazuje się konieczna. Stąd tradycja komentarza, pisarstwa ciągle na nowo rozpoczynanego, pobudzanego wątpliwościami, podważaniem każdego słowa i formą dialogu, w której odpowiedź może być tylko pytaniem i gdzie pytanie wywołuje pytanie. *Księga Pytań* jest takim wielkim zbiorem dialogów między fikcyjnymi mistrzami i uczniami, skarbcem aforizmów wypowiedzianych przez wymyślonych rabinów.

„- Na każde pytanie Żyd odpowiada pytaniem - twierdzi Reb Lema.

- Wiedzieć to pytać - dodaje Reb Mandel.

## Edmond Jabés, Obcy...

- Co wynika z tych pytań? - pyta uczeń.
- Obietnica nowego pytania - odpowiada Mędrzec. I dorzucza: Widzisz, na końcu rozumowania w zawieszeniu pozostaje zawsze pytanie decydujące.
- Pytać - podejmuje drugi uczeń - to wejść na drogę rozpaczy, ponieważ nigdy nie dowiemy się tego, co chcemy wiedzieć.
- Rzeczywista jest jedynie nadzieja, że prawda istnieje. Prawda to pustka - odpowiedział Reb Mandel.
- Jeżeli prawda o człowieku jest pustką - podejmuje najstarszy z uczniów - to jesteśmy tylko nicością w ciele i skórze. Czy Bóg będący naszą prawdą również jest nicością?
- Bóg jest pytaniem - odpowiedział Reb Mandel - pytaniem prowadzącym nas do Niego, który jest Światłem przez nas, którzy jesteśmy niczym”.
- W kręgu dręczących medytacji o śmierci i wygnaniu, o nasłuchiwanie i tożsamości rodzi się *Księga Pytań*. Twórczość Jabésa kreśli drogę długiego poszukiwania samego siebie. Problem tożsamości jest tutaj ściśle związany z sytuacją Obcego. Jest także nierozłączny z aktem pisania. Obcy szuka siebie, podobnie jak i twórczość, której los wyznacza nieustanne dążenie ku nieosiągalnemu celowi. Pisanie jako nieprzerwane rozpoczynanie na nowo pozostaje w sprzeczności z potrzebą odnalezienia miejsca bezpiecznego, schronienia. „Ocalenie dla człowieka jest w tym co ma, tak jak on sam, początek i koniec, w ciągłym

rozpoczynaniu”. „Nieskończoność, wieczność są wrogami miąższu i kory”. Nieskończoność to biała stronica. To także pustynia, błąkanie się po pustyni w oczekiwaniu na siedzibę. Obcy to człowiek znikąd, wykluczony ze świata, pozostający na uboczu, ten, który spotyka wszędzie zapomnienie i nieobecność. „Znalazł

się w południe naprzeciw nieskończoności, białej kartki papieru”. Stąd niepokój nierozłączny z kondycją Żyda tkwiącego w nieskończoności pustyni i niepokój pisarza tkwiącego przed białą stroną. A jednak żyć to wytyczać swoje granice, zaznaczać miejsce. „Obcy nie wie, gdzie jest jego miejsce”. Obcość jest wręcz obsesją istnienia. Trudność bycia Żydem i trudność pisania, to dwie trudności połączone w jedną, „ponieważ judaizm i pisarstwo są jednym i tym samym oczekiwaniem, jedną nadzieją, jednym cierpieniem”. Obcy zamieszkuje „nigdzie”. Pozbawionemu swojego miejsca pozostał jedynie język, w którym to własne miejsce sobie tworzy. Pisanie jest takim miejscem gdzie „tutaj” spotyka się z „nigdzie”. Obcy mówi: „Nie wiem gdzie jestem. Wiem. Jestem nigdzie. Tu”.

„- Jestem obcym.  
- Yukelu, opowiedz nam historię obcego”.

Historia Obcego to historia Żyda, błądzenia, podobnie jak pisarstwo, o którym mówił Maurice Blanchot w *L'Espace Littéraire*, iż jest ono historią „błądzenia fundamentalnego”. Żydzi błądzili czterdzieści lat po pustyni ze swoją Księgą. Pismem nie przestając pisać, gdyż pisanie jest skazane na wieczne niedokończenie. Jeżeli błądzenie oznacza cierpienie, nie-szczęście - jak mówi Jabés - towarzyszące narodzinom wiersza, dlaczego oddawać się pisaniu z taką rozkoszą, przyjemnością, ekstazą, z radością? Należy pamiętać, że w tradycji hebrajskiej to co najbardziej wzniosłe wyra-

ża się w Księdze będącej pismem *par excellence*, tam gdzie powiedziane jest, iż świat liter alfabetu stanowi świat prawdziwej szczęśliwości. Kafka twierdził, że „misja poety jest misją profetyczną; słowo właściwe nas wiedzie, słowo niewłaściwe uwodzi, nie przez przypadek Biblia nazywa się Pismem”.

Stosunek do litery, do jej rysunku, kształtu, umiejscowienia na kartce jest zarówno w tradycji hebrajskiej jak u Jabésa sprawą pierwszorzędą. W zależności od ich wzajemnego usytuowania wynikającego z tajemniczej alchemii Słowa, litery uzyskują różne wartości, w Kaba- le na przykład wartość numeryczną. Dla Żydów, człowiek pochodzi od Słowa i również „Bóg jest świetlistą orbitą liter. Jest każdą z liter swojego imienia”. Imię w językach semickich, a więc i w języku hebrajskim, ma sens zasadniczy, gdyż wyznacza tożsamość. Zmienić imię to zmienić tożsamość, w *Księdze Pytań* tragiczna gra liter tworzy całą serię słów wywodzących się od imienia SARAH SCHWALL i prowadzi do inicjałów oprawców Sary - S.S.

Sarah Schwall  
arah chwall  
rah wall  
S. S.

Okradziono Sarah z jej imienia i litery stały się martwe. I pismo stało się martwe.

Wielka jest potęga słów, ponieważ „słowami wszechświat został wyrwany ze snu”. Ale litera nabiera całego sensu dopiero wobec białej przestrzeni stronicy, którą też trzeba odszyfrować. Nie wszystko jest powiedziane. Słowa najważniejsze znajdują się na drugim planie, te, nakreślone na kartce, są tylko kluczem. André Breton mówił, iż „słowa uprawiają miłość”. Według Jabésa słowa przechadzają się „jak zakochani w wielkich, białych parkach książki”.

Poezja, pisanie jako pamięć, wymagają ciszy i zapomnienia, gdyż zanim pisanie stanie się słowem, jest nasłuchiwanie. „Gdy się poznało pustynię, jest się jej wdzięcznym na zawsze za dobrodziejstwo próby, tej która nakazuje zapomnieć. Cisza pustyni cię ogoląca. Przez to stajesz się sobą, to znaczy niczym.





SUPRANIEZALEŻNY FANZIN INTELIGENCKI □ Nr 6 □ 3 MARCA 1991 □ redaguje ZBIGNIEW SAJNÓG

## Kn. Krzysztof Dowgiałło Przed sklepem jubilera

...Neon państwowego sklepu Jubilera powitał nadchodzący dzień nerwowym, delikatnym mrugnięciem. Zwarty tłum obejmował prawie cały plac nazywany od barwy krwi i koloru sztandarów Rewolucji. Barczyści i dobrze wyposażeni agenci ochrony ostrzegawczo chrzęścili skórzanymi płaszczami i pilnowali, obserwowali, nawet zakrepiali co ładniejsze przedstawicielki narodów państwa Wielkiego Mongola. Mury starodawnej, ruskiej twierdzy swą czernią podkreślały dojrzałość szkarlatu niezliczonych hasel nawołujących do budowy jeszcze piękniejszego, jeszcze wspanialszego świata. Demoniczny widok wysuniętej szczęki Wodza Rewolucji mogły mi wynagrodzić tylko szlachetne kamienie (o odpowiednich kątach załamania światła). Mój umęczony wzrok poszukiwał stanka, handlowego patriarchy, przyjaciela moich przyjaciół. Dorodni handlowcy (wszelkich południowych i wschodnich ras) proponowali swoje usługi, ale ja poszukiwałem starika, jedynego uczciwego (moim zdaniem) posiadacza szlachetnych minerałów.

- Daaragoj... - ktoś zwrócił pochwylił rękaw mojej kurtki tak, że wykonałem baletowy piruet i znalazłem się naprzeciw szczupłego czterdziestoletniego mężczyzny. Wymin-

niliśmy kilka znaków, kilka informacji (które - nie godząc w całość krainy Wielkiego Mongola - umożliwiały identyfikację handlowych celów), kilka ostatnich wiadomości o pogranicznych perypetiach. Dłonie nasze łączyły się kilkakrotnie w ten charakterystyczny sposób, aby nie uchybić znacności żadnego z naszych przyjaciół. (Dłonie przyjaciół to koła zębate obracające osie świata). Twarz starika odzwierciedlała spokój starożytnej kultury, zaś jego modny garnitur nadawał mu europejski, wręcz uniwersalny kształt. Przyjaciel moich przyjaciół wskazał głową najwspanialszą restaurację w stolicy.

- Zajdźmy, do kraszowej dworcie... - Przechodziliśmy Plac powolnym krokiem gentlemanów, którzy znają wagę każdego słowa, każdego gwałtownego gestu. Setki osób stało przed sarkofagiem Wodza Rewolucji oczekując namaszczenia duchowym fluidem, fluidem prawdziwego poznania dobra i zła, wiary i zdrady.

Obok sarkofagu pretorianie Wodza wybudowali wspaniałą Restaurację. Nieprzeźrocyste białe szkło pochłaniał każdy napastliwy, niedyskretny promień słoneczny. Budowla ta dorównuje muirom zamku, jej smukłość, lekkość, prawie u każdego budzi ekstazę bądź inne wzniosłe, niewyrażalne uczucia. Szczęściu rosyjskich agentów ochrony odstąpiło na nasz widok od drzwi wejściowych.

- Tiszina malcziki? - zapytał przyjaciel moich przyjaciół szybkim ruchem częstując stojących (jak szpaler gwardii).

- Tiszina, tiszina... - potwierdził najwytworniejszy agent i poprawił spinkę u mankieta śnieżnej koszuli uwiecznionej czerwonym, szerokim krawatem. Weszliśmy dopiero po

Stanisław Gołąb

## Spółkowanie a leeeżenie

Każdy przyzna mi rację, iż jest to problem, który należy, skrótnie choćby, opisać i wyjaśnić.

Przeciętnemu obywatelowi naszego kraju spółkowanie, jako czynność powszednia, kojarzy się tradycyjnie z pozycją horyzontalną. Przechodujemy w narodowej pamięci pokładające się na zdrowym polskim sianie zakochane pary. Jednak współczesny człowiek, wychowany przecież w machuhanowskiej wiosce, wie - sprawa nie jest tak jednoznaczna.

We Wspólnocie Leeeeżec zdania jak i postawy dotyczące tematu spółkowania bywają różne. Na jednym biegunie układają się najbardziej konserwatywni uczestnicy W. L. i całkowicie wykluczają tego typu działanie, które wymaga bądź, co bądź, pewnej aktywności.

Mniej konserwatywni bez większych problemów godzą się z poglądem, iż miłe są im, nie krępujące i nie wymagające wielkich wysiłków fizycznych pieszczoty, takie jak: muskanie, głaskanie, gładzenie, pocieranie, smyranie (delikatne) i inne.

Jednak nie jest to jeszcze spółkowanie sensu stricto, a przecież samo ugrupowanie nosi w swej nazwie „Wspólnota” - rdzeń wyrazowy wielkiej rodziny wyrazów, do której należy również wyraz „spółkowanie”. Czyli zarówno „Wspólnota” (słowotwórczo), jak i „Leeeeżenie” (zwyczajowo) kojarzy się ze spółkowaniem, i to spółkowaniem sensu stricto.

Najbardziej rozsądni członkowie Wspólnoty chętnie głoszą pogląd, że spółkowanie (tylko i wyłącznie w pozycji LEEEEŻEC) jest czynnością przyjemną urozmaiaczącą tydzień.

Na koniec krótko wspomnę o silnie lewicującym odłamie Wspólnoty (zaopatrzonym widocznie w spory zapas energii), który chętnie włącza, w swych teoretycznych rozważaniach, w proces spółkowania - tarzanie się.

O samym tarzaniu, co prawda, w ogólnym ujęciu wypowiedział się dr Marek Jahoda na łamach „Tygodnika Leeeeżec” (nr 5).

Ja ze swej strony mam nadzieję, że do tej granicy dojdzie jak najmniej uczestników

Wspólnoty.

Wszelkie inne wulgarnie i ohydne pozycje spółkowania, być może znane obywatelom naszego kraju, a których nie mam nawet zamiaru przytaczać, są Wspólnocie zupełnie obce. Od nich to cała Wspólnota, zgodnie, odwraca się ze wstrętem na drugi bok.

<sup>1</sup> tzw. po bozemu.

Wiersze niemieckie ed.

zobaczysz ty  
niebo  
swinito  
ale w  
kino

*Czas burzy i naporu*

Coburg Gotta  
Messe Gruga  
Engel z nieba  
Himmelstosy

1992

TOPFZ MAUSERI

przypaleniu ośmiu papierosów. Delikatne światło chyba pozłocanych kandelabrow tańczyło (w takt *Jeziora... Czajkowskiego*) z pionowymi płaszczkami marmurów. Na nasze spotkanie nadpłynęła młoda dama, której biodra (zapowiadające przedni owoc) przesłaniała kilkucalowa, biała tkanina, rozpoczynająca frędzelkami nogi, jakby oderwane z antycznej rzeźby. Zapach perfum ogarnął mnie całkowicie. Posuwałem się półprzymyślnie, kołysany rytmem piersi brzękających cekinami. Powolny gest palców damy wskazał nam oddalony stolik z trzech stron otoczony zieloną kotarą. Siedliśmy natychmiast. Nasze łokcie chłodził marmurowy blat, a odgłosy bankietowej sali tłumili grube tkaniny spadające jak wodospad z samego sufitu. Przyjaciel moich przyjaciół wydobyl metalowe pudełeczko trągące się zmieścić w męskiej dłoni. Uniesione wieczko ukazało szlachetne minerały błyszczące siateczkami załamanych promieni. Wydobylem optyczny sprzęt i dopiero teraz, spokojnie i obiektywnie mogłem ocenić twardość, polysk, przejrzystość oferowanego towaru.

- Hyacintus... - szepnąłem nieostroźnie. Nieskalana pomarańczowa barwa boskiego Apollina. Potem uwiódl moje oczy ciemnoczerwony, królewski rubin. Milczałem; moja pracowita, duchowa ucztą trwała jeszcze może dwa kwadransy. Dopiero wtedy przyjaciel moich przyjaciół otrzymał paczuszkę zielonych banknotów (które natychmiast dokładnie przeliczył), gdyż tylko takie są chętnie przyjmowane w stolicy Krainy Wielkiego Mongola. Srebrny guzik umieszczony w oprawce pośrodku blatu, dwukrotnie naciągnięty, wyczarował młodą damę, butelkę wina i dwa kryształowe kielichy. Jej biodra dotknęły mojego ramienia a oczy próbowały uchwycić mnie zielonymi skrami. Starik, handlowy przedstawiciel sfer zbliżonych do sklepu Jubilera, właśnie on uniósł kielich i zwrócił kilka kropel dla spragnionych bóstw tajemnego świata. Takty Czajkowskiego schodziły falami.

- Matriona, jeszcze adin pokal - rozkazał przyjaciel moich przyjaciół. Po chwili połączyliśmy trzy puchary, aby jednym łykiem opróżnić je do samego dna.

- Muszę jechać.  
Starik skinął głową, jego oczy błysnęły męskim aktem zrozumienia. Poczulem, że tuli mnie mechaniczny szum poślągu. Sklep Jubilera trwał pośrodku współczesnych przestrzeni.

- Muszę jechać... przyjadę jeszcze... ot tak, swobodnie...



ANDRZEJ AWBIEJ

TYGODNIK LEEEEŻEC  
REGION WARSZAWA  
PISMO CZŁONKÓW I SYMPATYKÓW  
WSPÓLNOTY LEEEEŻEC ŁÓDŹ NR 9

W HOLANDII ZWYKŁO SIĘ MÓWIĆ, ŻE DOBRY SLOGAN POTRAFI PRZYBLOKOWAĆ MYŚLENIE NA CAŁE LATA. NATOMIAST

Jacek Alexander Sikora

## Podstawowe

Narasta dziś kryzys zmęczenia! Wiotceją nośniki energii (fizycznej i psychicznej), jaką człowiek rozporządza w walce o warunki samo-realizacji. „Społeczeństwo” stało się podstawową kategorią wyznaczającą kształt ludzkiego zwiotczalego życia. Pojęcie jednostki natomiast traktuje się dziś tylko jako hipotetyczną (statystyczną) „jednostkę” miary społeczeństwa jako bytu pierwszoplanowego.

Sytuację tę w dużym stopniu wywołuje polityka, którą określam tu jako tradycyjną (niezależnie od podziałów jej na różne nurty: lewicę, centrum, prawicę, etc.). Myśli ona o świecie ludzkim kategoriami społecznymi, dążąc zawsze do zakotwiczenia ich w sferze tak zwanych mierzalnych faktów społecznych, jak na przykład: spożycie dóbr materialnych, zużycie energii, poziom produkcji, etc., etc. Jednostka rozumiana jest tu jedynie jako wyabstrahowany wzorzec procedur statystycznych (mówi się przykładowo o „spożyciu energii na głowę”).

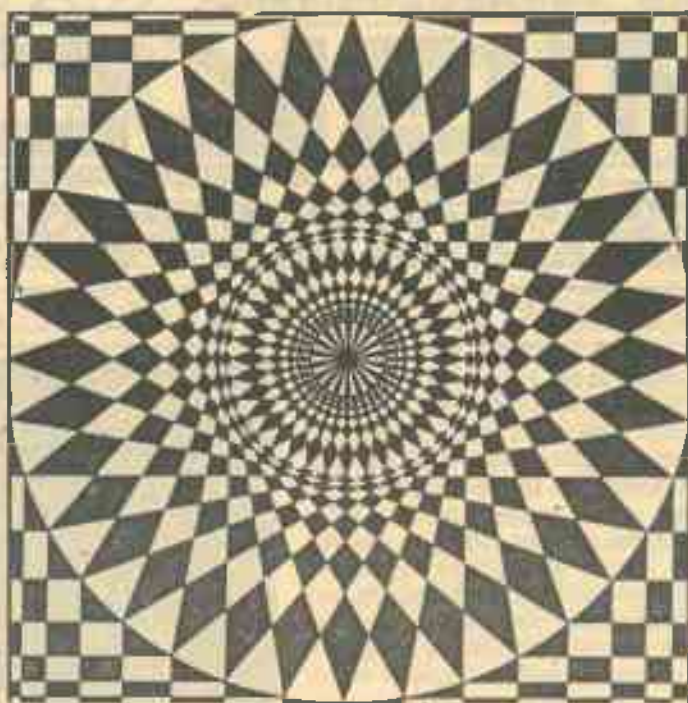
Narasta zmęczenie życiem w społeczeństwie modelowanym według zasad takiej polityki..., społeczeństwo – molo-chu, społeczeństwo – Lewiatanie, społeczeństwo – marnotrawnym wieprzu! Społeczeństwo takie wysysa całą duchową energię człowieka i puszczą ją w tloki swoich zębatych kół. Maszyna mieli beznamiętnie wolne jednostki mocą swego rozpędu, przygodnego przyzwyczajenia...

Możemy dzisiaj mówić zatem tylko o zmęczeniu, niemożliwym do zaakceptowania marnowaniu soków życiowych, esencji życia. Nie może być jednak mowy o zmęczeniu spowodowanym całkowitym wyczerpaniem potencji życia, o kryzysie sensu stricto nihilistycznym. Musimy rozróżnić kryzys zmęczenia państwem i społeczeństwem, a raczej stylem życia i myślenia przez nie wyznaczonym (nihilizm państwowo -społeczny) od zmęczenia wynikłego z implozji kondycji ludzkiej (nihilizm egzystencjalny). Kryzys kultury europejskiej, w moim przekonaniu, w decydującej mierze spowodowany jest nihilizmem tego pierwszego rodzaju, w znacznie mniejszym zaś stopniu tym drugim nihilizmem.

Podstawowym celem swobodnej polityki jest przezwyciężanie wszechogarniającego kryzysu kultury europejskiej. Dąży ona do przywrócenia i uzupełniania energii życiowej wolnej jednostce tak, aby miała ona moc wyzwiania się spod panowania społeczeństwa i jego kulturo-totalitarnych norm, schematów i ideologii.

Odwraca ona system metryczny: nie tyle jednostka jest hipotetyczną miarą społeczeństwa ile raczej społeczeństwo jest potencjalnym kontekstem działania autonomicznego człowieka. Społeczeństwo, okazuje się, z tego nowego punktu widzenia jest jedynie abstrakcyjnym pojęciem, które wykorzystywane jest co najwyżej przy intelektualnych dociekaniach na temat nieskończonego zróżnicowanego świata ludzkiego, nie czyni się jednak z niego żadnego konkretnego użytku.

Powinno się więc właściwie mówić o wielości swobodnych „polityk”, bowiem nie dąży się tu do zarządzania całością świata ludzkiego, ale raczej umożliwia się (stwarzając warunki) zarządzania każdemu z osobna i na swój własny sposób. Jeżeli jednak dopuszcza się możliwość zarządzania kimkolwiek, to najwyżej małymi grupami jednostek, które przy tym muszą dobrowolnie godzić się z formami tego zarządzania. Ewentualnie – dopuszcza się sprawowanie władzy nad tymi, którzy jawnie szkodzą życiu, zdrowiu lub zasadom moralnym innych. Powinno się to zawsze jednak odbywać z możliwie największym poszanowaniem specyfiki (autonomii) zarządzanych. Sprawujący władzę powinien



RESEARCH

## Agencja Duchowa

Zbigniew Sajnog: – *Książę, otwierasz w „Śmigle” słownik Agencji Duchowej. Powiedz zatem kim jesteś.*

Krzysztof Dowgiałło: Badaczem popiołów, z których ma wyrosnąć kwiat Epoki Ducha. Bolszewizm wypierał system pojęć logicznych dotyczących zjawisk duchowych. Dzięki tym pojęciom możemy przybliżyć się do poznania duchowych sfer.

## zasady

zawsze pamiętać, że jego władza może wynikać jedynie z dobrowolnej umowy autonomicznych jednostek, nie ma bowiem żadnych innych racji jego roli, jak jedynie względy pragmatyki życiowej. Swobodna polityka kieruje się w tym względzie zasadą PUSTKI AKSJOLOGICZNEJ. Najogólniej mówiąc, głosi ona konwencjonalność wszelkich norm i wartości społecznych, które tradycyjna polityka uznaje za a priori uniwersalne (konieczne) i w oparciu o które buduje ona swój monocentryczny i autorytarny styl sprawowania władzy. Swobodna polityka wyrasta z przekonania, że poza nieprzezwyciężalnie wieloznacznymi i wieloaspektowymi normami kulturowymi nie ma nic, co determinuje ludzkie postępowanie. Należy zatem uświadomić sobie, że konwencjonalność tych norm nie stanowi wystarczającego powodu, aby mogły być one wyznacznikiem praw życia wszystkich jednostek; aby w zabsolutyzowanej formie systemu społecznego narzucać je wszystkim ludziom w procesie socjalizacji. Swobodna polityka przyznaje wolnemu podmiotowi pełne prawo zdystansowania się wobec tych (wynikających w istocie z konwencji historyczno-obyczajowych) norm, a nawet do swobodnego wyboru własnych norm i wartości.

Kolejnym zatem wyznacznikiem swobodnej polityki jest możliwie pełny Dobro-Byt wolnego podmiotu we wszystkich możliwych aspektach życia. Celem zaś tej polityki jest tworzenie warunków (na zasadzie wolnej współpracy zainteresowanych) do s w o b o d n e j realizacji tego Dobro-Bytu.

Jak z tego widać, swobodna polityka nie pojmuje Dobro-Bytu jedynie materialistycznie, inaczej mówiąc, nie umieszcza ona w centrum zainteresowania ludzkiego świata wyłącznie zagadnień zogniskowanych wokół pro-

– *Ale chwileczkę książę, przecież istnieje kościół jako strażnik i przewodnik.*

– Tak, ale kościół prowadzi do zbawienia, jest praktyką religijną, przemawia kultem, liturgią. Ja dążę do ułożenia pojęć w logiczny łańcuch prowadzący do poznania zjawisk materialnych i duchowych. Podział na te dwie sfery jest czysto umowny.

– *Uprawiasz, książę, gnozę?*

– Ale liczę na łaskawość organów ścigania.

– *Słyszałem nawet, że w swojej ufności planujesz zorganizowanie na jednej z uczelni Katedry Nauk Tajemnych i Niedozwolonych?*

– Tak. Zaraz po ukończeniu i obronie pracy doktorskiej utworzę tajną spółdzielnię naukową zajmującą się tropieniem demonów.

– *Z twoich planów wnioskuję, że masz bardzo optymistyczną wizję dziejów.*

– Dla Polski powstanie styczeńowe rozpoczęło epokę cierpienia. W ostatnich latach przemienia się ona w epokę ducha, kiedy upada imperium azjatyckich nomadów. Czarne demony nie rezygnują jednak ze swoich atrybutów i chcą zniszczyć pokój, tym samym zasadniczą podstawę epoki ducha.

– *Zatem według ciebie, zapętlenie dziejów Polski, powrót do Piasta Kołodzieja ergo Elektryka, jest aktem rozwojowym i optymistycznym?*

– Kontrastem dla Lecha jest nihilistyczna próżnia imperium, a ona jest jakby korkiem opóźniającym wybuch.

– *Nad czym teraz pracujesz?*

– Przekładam Fausta Goethego jako alchemiczny traktat. Wykładam go jako wielopoziomowy rebus prowadzący do licznych kontrastowych rozstrzygnięć.

– *Pytanie finalne: jesteś, książę, bardziej arystokratą krwi, czy ducha?*

– Nie jestem oszustem, a poziom mojego ducha powinni ocenić inni.

grudzień 1990

Informacje Agencji Duchowej (nasłuch: Kn. K. Dowgiałło)

ALCHEMIA – tajemna nauka zajmująca się transmutacją (przemianą) różnych metali w złoto, chemia jako nauka bierze z niej początek. Dziś do łask powraca, gdyż prawie sto pierwiastków (tabeli niejakiego Mendelejewa) można sprowadzić do kilku postaci materii, np. proton, elektron, drobina światła czyli kwant. A to dlatego, że reakcja termojądrowa udowodniła prawdziwość podstawowej zasady alchemii, czyli „przemiany wszystkiego we wszystko”. Rozpad pierwiastków (np. podczas wybuchu bomby atomowej) udowadnia formalny charakter pierwiastków tabeli Mendelejewa, ich wzajemne transmutacje. Najwybitniejszymi alchemikami byli św. Albert Wielki (1193-1280) – nauczyciel św. Tomasza z Akwinu; Rajmund Lullus (1235-1315) – wybitny chemik (bo dzięki podwojonej destylacji otrzymał bardzo mocny alkohol i tym na naszą wdzięczność zasłużył); Agryppa z Nettesheim (1488-1535) – twórca renesansowego systemu nauk tajemnych; Paracelsus (1493-1541) – podróżnik, awanturnik i prekursor nowoczesnej medycyny, która sprawnie w lepszy świat chorych przenosi...

## swobodnej

blemu produkcji i konsumpcji. Nie negując ich, przemieszcza je na właściwe im miejsce, to znaczy – jednego z wyznaczników faktu bycia człowiekiem, bez absolutyzowania go, co czyni polityka tradycyjna. Swobodna polityka uwypukla również inne fundamentalne potrzeby człowieka: psychiczne, estetyczne, moralne, ekologiczne, etc. Traktuje ona człowieka jako niepodzielną jedność tych wszystkich, niepotrzebnie przez tradycyjną politykę rozdzielanych, aspektów. Jedność, która z punktu widzenia pełni człowieczeństwa, musi być realizowana, i której warunki wszelka polityka musi tworzyć, jeżeli nie chce być nazwana totalitarną.

Mówiąc o swobodnej polityce nie sposób nie podkreślić, że jest to polityka realizowana w oparciu o policentryczne pojmowanie kultury i zarazem podtrzymująca ten policentryzm. (Zob. J. A. S., *O polu, policentryzmie i piśmie Xuxem*, T. 1, 1989, „Xuxem”). Mam tu na myśli fakt, że polityka ta nie zmierza do narzucenia większości społeczeństwa jednego zespołu, arbitralnie wyznaczonych, monocentrycznych zasad, jak również, że wyrzeka się ona zmuszania do ich przyjęcia pod groźbą represji, czy różnego typu sankcji społecznych. Zamiast tego dąży do ciągłego rozszerzania wolnego pola wyboru umożliwiającego realizowanie wielu paralelnych rozwiązań w danej dziedzinie (co jest konsekwencją zasady pustki aksjologicznej).

Postulat policentryzmu sprawia przy tym, że odpada



JOANNA KABALA

# Moda

Zbigniew Sajnog: – Droga Karolino jesteś bodajże najbardziej wyszukanie ubraną osobą w RP. Kreujesz wysoce artystyczne stroje, które jednocześnie bardzo praktycznie się noszą. Zapewne jak każdy twórca, musisz walczyć z przeciwnościami losu. Opowiedz proszę kilka słów o tym.

Karolina Dąbrowska: – Największą przeciwnością jest brak zbytu. Nie jestem jeszcze na tyle znaną osobą, żeby moje ubiory kupowali snobi. Większość znajomych chętnie ubierałaby się u mnie, ale ich po prostu na to nie stać: niektóre rzeczy muszą być szyte z dobrych materiałów, by uzyskać odpowiedni efekt. Nie mam także papierów gwarantujących moją doskonałość, ale mnie to nie przeraża, jeśli ktoś rzeczywiście ma talent, to i tak zostanie zauważony.

– Twój optymizm jest godny pozazdroszczenia. Ale czyż nie miałaś nieraz mrozących krew w żyłach sytuacji poruszając się w swoich kreacjach po ulicach naszych miast i wsi? Zdaje się, że nawet pod wpływem tych przeżyć współzałożyłaś Balet Archidiecezjalny.

– Bardzo często spotykają mnie przykre sytuacje, szczególnie na dworcach. Ale dzięki mojemu wyglądowi łatwiej poznaje mi się interesujących ludzi. A nazwa zespołu, w którym występowałam wzięła się stąd, że na nasz widok ludzie najczęściej reagują okrzykiem: „Jezus Maria!”

– Wróćmy do spraw technicznych – czy śledzisz aktualne tendencje w modzie, czy oglądasz kolekcje tak zwanych dyktatorów mody?

– Staram się śledzić na bieżąco to, co dzieje się w „wielkim świecie mody”, jest to w naszych warunkach trudne, ale ma to swoje dobre strony, bo jestem mniej narażona na wpływy. To co robię jest samodzielne. Nie uważam za niewłaściwe inspirowanie się czyimiś pomysłami w sposób twórczy, natomiast nie chcę być odtwórczynią bieżących trendów w modzie, chociaż czasami jakaś idea mnie porwie.

– Jak pracujesz: czy zaczynasz od projektu, czy może ideę ubranka wyprowadzasz z wyszukanego akuratu materiału?

– Najczęściej muszę się dostosować do materiału jaki mi się uda kupić. Czasami w trakcie szycia kilka razy zmieniam koncepcję. Polskie tkaniny są złej jakości, bardzo często mają wady i bywa to in-



JOANNA KABALA

## polityki

demokratyczny wymóg podporządkowania mniejszości większości, swobodna polityka odrzuca bowiem koncepcję budowy porządku społecznego na zasadzie monocentrycznych wyborów dokonywanych przez sprawujących władzę w imieniu wszystkich. Zamiast tego ustanawia się zasadę WIELOŚCI MOŻLIWYCH WYBORÓW, w myśl której – niemalże we wszystkich okolicznościach i odnośnie do wszystkich sytuacji – należy tworzyć warunki s w o b e d n y c h wyborów; należy bezwzględnie pozostawiać możliwość alternatywnych wyjść, tworzenia alternatywnych struktur i mobilnych układów, społecznych. KAŻDY CZŁOWIEK MA PRAWO DOKONYWAĆ INDYWIDUALNYCH WYBORÓW SWOJEJ DROGI SAMOREALIZACJI. Zadaniem wszelkich struktur ponadjednostkowych jest pozytywna integracja maksymalnie wielu z tych swobodnych wyborów; muszą one tworzyć warunki, aby większości nie były w stanie terroryzować mniejszości i kształtować takie formy organizacji i (meta-) prawa nimi rządzące, żeby jak największa ilość i jakość pozytywnych różnicowań mogła się realizować. Bezwzględnie należy zachowywać meta-zasadę: NIE MA ŻADNEJ RACJI, KTÓRA BYŁABY WYSTARCZAJĄCA, ABY UNIE-MOŻLIWIĆ DOPUSZCZENIE W DANEJ SYTUACJI WIELU WYBORÓW NARAZ !!!

Monocentryzm polityki tradycyjnej wynika z fałszywego założenia, że w dziedzinie politycznej to, co jest dobrem dla większości, dobrem jest również dla wszystkich; lub inaczej

spirujące, a wolno mi wszystko, szczególnie gdy nie stać mnie na wyrzucenie materiału.

– Czy myślałaś kiedyś o opracowaniu kolekcji mogącej być propozycją dla seryjnej produkcji?

– Nie. Chciałabym żeby moje rzeczy były zawsze pojedynczymi egzemplarzami. Nawet postanowiłam, że moja metka będzie zawsze ręcznie malowana. Myślałam o projektowaniu patchworków do wykonania przez kogoś innego, jednak szycie ubrań pozostawiam dla siebie. Marzy mi się zorganizowanie kolekcji, ale nie lubię półśrodków więc muszę poczekać aż będę miała odpowiednie możliwości. Do takiej kolekcji musiałabym znaleźć odpowiednie modelki, bo te, które pokazują się... nie chcę im sprawić przykrości, bo one są takie biedne. Podobnie zresztą jak z polskimi magazynami mody.

### Kostki w stanie spoczynku

twoje oczy są jak marchewki  
można je schrupać aż do czerwoności

brukiew bruka bruk  
stuka stukiem stuk  
krewka krwawi krew  
biegnie biegiem bieg

nie dogonisz mnie  
nie uciekniesz przed

twoje rączki są jak gałązki  
po wichurze  
rozrzucone bez palczastych konarów liści  
przyjdzie służba i posprząta  
ofiaruje

mi eklerek  
lecz

nie będę lizała  
bo mnie zemdli  
ulożę się w środku grzbietem do ziemi  
pomacham łapkami na pożegnanie

Maria Fraszewska

– to, co jest korzystne dla jednego, korzystne jest przeważnie dla innych (przy czym kryterium wyboru tego dobra najczęściej stanowiły potrzeby samego decydenta). Naturalnie swobodna polityka zrywa z tym założeniem. Myśli odwrotnie: TRZEBA TAK RZĄDZIĆ JAKBY DLA KAŻDEGO DOBREM BYŁO COŚ INNEGO, ZAŚ KRYTERIUM OKREŚLAJĄCYM CHARAKTER TEGO DOBRA SĄ DECYZJE SAMEGO ZAINTERESOWANEGO. Represji powinny podlegać: 1) wybory drastycznie naruszające wolność innych wyborów; 2) działanie uniemożliwiające w ogóle wolność wyborów, etc.

– Jak z tego widać, swobodna polityka wyżej stawia indywidualny komfort i autonomię poszczególnego człowieka, a także pełnię całościowo pojętych stosunków międzyludzkich, niż takie formy organizacji, które mają na celu jedynie wydajnościowość (termin Lyotarda) systemu społeczno-ekonomicznego, kosztem niemal wszystkich innych dziedzin życia ludzkiego. Naturalnie nie można wykluczać potrzeby produkcji, czy – ogólniej – wartości utylitarnych w życiu. Jednakże muszą one wynikać z prawdziwych potrzeb i realizować się w granicach wolnych wyborów każdego człowieka. W żadnym zaś razie nie można się pogodzić z autorytarnym przymusem konsumpcyjno-produkcyjnym obecnego społeczeństwa (jego zasad). Trzeba pamiętać, że praca oprócz wydajnościowego aspektu powinna być również sferą samorealizacji, dlatego też winna być adekwatna do twórczych potrzeb danego człowieka.

Musimy też już dzisiaj zacząć tworzyć przyszłe warunki samorealizacji poza pracą zarobkową (aby postulat policentryzmu i wolności wyboru w ogóle miał sens...). Inaczej mówiąc, trzeba zacząć wprowadzać w obieg świadomości społecznej przekonanie, że społeczeństwo powinno stopniowo umożliwić funkcjonowanie (choćby na niskim poziomie materialnym) tym, którzy własną samorealizację chcą przeprowadzać w oparciu o wartości czysto duchowe. Nic bowiem, poza historyczną konwencją, nie jest w stanie prawomocnie określić wymogu powiązania losu człowieka z produkcją

i konsumpcją dóbr materialnych. Złudzenie konieczności tego powiązania powstaje z powodu: 1) wyolbrzymianych przez tradycyjną politykę potrzeb materialnych; 2) złą organizację społeczeństwa; 3) podtrzymywanie monocentrycznych norm i wartości kulturowych. Swobodna polityka również w tej dziedzinie chce tworzyć warunki swobodnych wyborów.

Reasumując, lata kierowania się zasadami tradycyjnej polityki (w którejś z jej odmian) doprowadziły nas do sytuacji, w której z jednej strony problemy stojące przed dzisiejszym człowiekiem są tak poważne, że ich pomijanie grozi upadkiem śródziemnomorskiej kultury opartej, w swoim najgłębszym zamyśle, na autonomii podmiotu ludzkiego, a z drugiej – za pomocą schematów, którymi tradycyjna polityka operuje, problemów tych rozwiązać nie jesteśmy w stanie. Tradycyjna polityka prowadzi prawdopodobnie w kierunku powstania jakiegoś typu kulturo-cywilizacji, mianowicie techno-kultury, której zainteresowanie będzie się skupiało wyłącznie na problemach produkcji i konsumpcji. Inne problemy będą zaś uważane co najwyżej za rodzaj tematów rozrywkowych...

Nie rozwijając tego wątku, pragnę na koniec dokonać krótkiego przeglądu niektórych problemów, które stoją przed nową polityką na przełomie wieków:

1) Narastające różnicowania kulturowe wewnątrz tradycyjnych, monocentrycznych społeczeństw. Budzi to konieczność zmodyfikowania podstawowych norm i wartości rządzących kulturą, tak, aby wszystkie tendencje uznawane za pozytywne mogły się rozwijać, wnosząc swój wkład do powstającej metakultury (zespołu ogólnoludzkich przekonań regulujących relacje między alternatywnymi wartościami, normami, podstawami, etc.)

2) Narastanie tak wysokiego dyskomfortu (spowodowanego narzuconym produkcyjnym stylem życia i organizacji przestrzeni, w której człowiek żyje), że prowadzi to do lawinowej utraty zdrowia u większości obywateli; u pozostałych powodując bardziej lub mniej trwale stresy, które po wewnętrzne obumieranie u jednych, i wzrost agresji u drugich.

Podstawowym faktem, z którym musi się liczyć każda nowoczesna polityka, jest istnienie granic biologiczno-fizjologicznych w przystosowaniu człowieka do wymogów, jakie stawia przed nim konsumpcyjno-produkcyjna cywilizacja (Zob. St. Kozłowski, *Granice przystosowania*, Warszawa 1986). Tym progiem może być źle zorganizowana i nietwórcza praca; – obciążenie emocjonalne spowodowane a) tempem życia, b) przeludnieniem, c) złą organizacją transportu, handlu, usług, etc.; – nieuwzględnianie przez systemy organizacji pracy zindywidualizowanych rytmów organizmu; – biurokratyczny sposób zarządzania ludźmi, etc. Istnieją również granice przystosowania odnośnie do takich problemów, jak: chaos estetyczno-psychiczny w budowie miast i osiedli; standaryzacja, gigantomania, dehumanizacja, alienacja spowodowana uniformizacją stosunków międzyludzkich, etc., etc.

3) Stosunkowo głośny dziś problem zagrożenia środowiska.

4) Problem narastającego zdezorientowania we wszystkich sferach kultury, co prowadzi do apatii i bezrefleksyjnego sposobu uczestnictwa w życiu coraz większej ilości jednostek. Spowodowane jest to często instrumentalnym stylem przekazywania informacji, manipulacją wartościami, przerosłem reklamy, itp.

Rzecz jasna można by te problemy mnożyć, już jednak przedstawione wystarczą, w moim przekonaniu, do uświadomienia, że Europa (a w jej ramach również i nasz kraj) stanęła wobec problemów, których tradycyjnymi metodami politycznymi rozwiązać niepodobna. Potrzebne są więc nowe pomysły i idee polityczne... Przedstawiona tu wizja swobodnej polityki, jako zespół pomysłów, które wykorzystuje w swoich działaniach „Ruch Swobodnych” (ruch nowopolityczno-artystyczny) jest próbą idącą w tym kierunku...

J. A. S.



JOANNA KABALA

MOŻNA TERAZ DOSTAĆ 5 LAT. A ZDAJE SIĘ, ŻE I ARAFATKI BĘDZIE TRZEBA

# Miłość

ZS: - Napędzasz chyba najbardziej istotną formację muzyczną w tym kraju. Zaczął się jako „Sni Sredstwom Za Uklanianie” grając cold wave, przeszliście przez psychodeliczno-dodekafoniczny rock aby, jako Miłość, dojść do uskrainionego post-free jazzu - otwierającej tendencji lat dziewięćdziesiątych. Jak się w związku z tym czujesz?

Ryszard Tymon Tymański:

- A propos pierwszego zdania: czy aby naprawdę tak sądzisz? (śmieje się głu-pawo). A jeżeli naprawdę tak sądzisz to jest mi miło. Nie ukrywam, że mam tego świadomość i nie jest mi z tym ciężko, to znaczy - nie odczuwam brzemienia prekursorstwa. Moje dotychczasowe intuicje względem kierunku rozwoju muzyki sprawdzają się. To, co robimy teraz, nie jest jedyną, ale na pewno syntetyczną możliwością. Zawsze byłem przekonany o istniejących nieskończonych możliwościach, niekoniecznie moich, bo powszechnych, jak choćby kombinacji kosmicznych. W tym układzie praca przyjmuje formę czerpania z tych właśnie nieskończonych pokładów. Możesz dokonać wszystkiego i wszystko cię ku temu zaprasza, przywabia. Aż dziwię się, że ludzie poprzestają na tak drobnych lupach.

- Ważną konkretnie. Określ położenie waszych dźwięków względem rocka, jazzu i powazki.

- Stają się ponadgatunkowe i uniwersalne. Do tego potrzeba było, i pewnie będzie, doświadczeń ze wszystkich dziedzin. Czy systemem twojej pracy duchowej jest milczenie, czy „wzbogacanie świata”, mnożenie bytów, wynik pozostaje ten sam: twoja wizja jest integralna. Świat znowu stał się jednym, bez względu na medium. Wszystkie doświadczenia złożyły się na integralną sumę. Wszystkie dźwięki są prawdą, od prawd drobnych, fragmentarycznych, do prawd gigantycz-

nych i wstrząsających, od dyskotekowych nieistotnych dźwięków, do sportowniałych andegaweńskich onuc muzycznego pionierstwa. Kumasz mnie? W moim widzeniu, widzeniu integralnym, nie eklektycznym, gatunki zlały się w jedno. Słuchałem wszystkiego i wszystkich, przyjmuję miliardy informacji i na jednostkowy sposób przetwarzam je. Muzyka jest też tylko zapośredniczeniem tego, co ją przekracza. Sugestia mistyczna.

- Ale do wyższej muzycznej cię nie przyjęli. Nie jest chyba tak słodko?

- No co ty, Zbigniew. Chyba nie chcesz żebym się przed tym broniał na łamach prasy. Przyjęli mnie, tylko nie zdałem z aktorskiego.

- Przynajmniej jest gwarancja, że nie zwoździsz kuglarskimi sztuczkami.

- Co też nie znaczy, że nie umiem przyzwolcie grać. Wic, wicem, a generalnie sprawa ma się tak: ich wymogi, to znaczy Szkoły, są nieadekwatne, zdezaktualizowane. Ja wysiadłem po półrocznym słuchaniu Moniuszki, tu nikt nie jest twórczy, tu ludzie w nic nie wierzą. Nie myślę, że jest to wadą szkoły w ogóle. Pewnie my byśmy wiedzieli jak ją zorganizować, ale bolesna autopsja już mnie w tym kierunku nie pośle. Szkoda mi na to czasu. Zresztą o co chodzi? Co masz wiedzieć, i tak będziesz wiedział, jeżeli twoja determinacja jest dość silna, dojrzała. Szkoła mogłaby być tylko pomocnym katalizatorem, a że nie jest, to nie powinien być nasz problem.

- Nawet jeżeli przez to ludzie nie znają na przykład Charlesa Ivesa?

- Ale ty go przecież znasz, prawda? Na tej zasadzie ludzie o silnej determinacji rozwoju w każdym warunkach dotrą do niezbędnych im obszarów posuwając się szybciej, szybciej naprzód w PROCESIE. Nie mówmy o samej muzyce, bo ona przecież mówi za siebie, nie mówmy o detalach, bo one znajdują się w folderze. Naświetlmy background tego wszystkiego.

- Dobra. Podobno tydzień temu ściskaliście się w Dubrowniku z Coltrane?

- Poniekąd tak. Co prawda ani w Dubrowniku, ani z Coltranem, ale z jego najbliższym współpracownikiem - McCoy Tynerem, na jazz festiwalu belgradzkim. Była to dla nas niebywała frajda i wzruszające przeżycie. Powiedziałem mu, że go kocham i poprosiłem o blessing dla całego bandu, a on powiedział, bądźcie dobrymi muzykami. Na pewno będziemy. To wszystko co się dzieje jest tak silnym bodźcem, że nie sposób jest już zatrzymać się w biegu. Właściwie czuję, że my możemy mówić o czymkolwiek. W każdym wymiarze możemy stawić czoło prawdzie, która jest do wyrażenia. Możemy mówić o małostkach. Przecież gdy bystry sześćdziesięcioletni twórcy, jak Wajda, angażują się w taki detal jak polityka, i traktują to bezowocne kibicowanie jak dyscyplinę umysłu, to my, pozbawieni nalogów, możemy spokojniutko porozmawiać sobie o wszystkim, nie obawiając się, że naszą energię inwestujemy bezpowrotnie. Na marginesie - energia jest pochodzenia kosmicznego, więc nie można jej wyczerpać, ale to życie jest

dość krótkie i chyba szkoda je tracić na coś tak tymczasowego.

- Ale wciąż jeszcze obowiązuje pierwsze prawo prądu: jeżeli istnieje mikrokosmos człowieka i makrokosmos wszechświata, to musi istnieć kosmos metod łączenia ich w całość.

- Ives twierdził, tak jak transcendentaliści, że czy jesteś poetą czy agentem ubezpieczeniowym masz szansę zrealizować się w stu procentach i powinienesz robić to od zaraz. A propos „mikro” i „makro” - podział jest pozorny, co nie znaczy, że niepotrzebny. Świat jest jeden i my w nim także jesteśmy, kompletnie, totalnie. Wychodząc jednak od widzenia ograniczonego z początku ewolucji świadomości, znajdujemy funkcjonalną pomocność tych metod. Astrologia, medycyna alternatywna, jatrochemia, wszystkie one pomagają na swój pomocniczy sposób. I teraz my już właściwie lecimy nawet poza filozofię. Zauważyłeś już to. Leci to poza krawędzie semantyki - koszmarny mus znaczenia, coś jak groteska, soldateska, burleska i arabeska.

- Finiszujemy. Krochmalnij tonus finalis.

- I z ostrej kulbaki wrzucę. Wszystko musi obrócić się na dobre, nie ma innej kombinacji. Wszystko wiedzie do rozwoju i do tego, co on projektuje: DO LEPSZEGO ZROZUMIENIA, WIĘKSZEJ ŚWIADOMOŚCI, DO STAWANIA SIĘ JEDNYM Z BOGOKOSMOSEM.

Gdańsk, 15.11.1990



## Errata

W szóstym „Śmigle” w wierszu autorów Andrzeja Miastkowskiego, Rafała Tarnowskiego, Piotra Skoszkiewicza i Pawła Pallestra bardzo niefortunnie zamieniono w druku słowo: „krucy” na „kuracy”, co oczywiście wykoślawiło wymowę wiersza w sposób zasadniczy, tudzież fatalny. Autorów przepraszam, czytelników proszę o przeprawienie.

Spod artykułu Grzegorza Ociepy zniknęła data jego napisania: luty 1990.



odcinek drugi

## Rozdział I czyli początek kwaśnego.

Woda ściekała powoli z ogorzalego ciała i wsiąkała łagodnie w gąbczasty chodniczek. Nagi Smuga stał przed wanną z rozrzuconymi ramionami i oddychał równomiernie, świeżąc nieznacznie nozdrzami.

- Szalamok usarik macak fulek... - mamrotał poruszając leniwie mięsistymi ustami. Rozsypana w krąg dziewczanna durzyła Janka swym matowym, z lekka słodkawo-mdłym za-

pachem, w wyniku czego odrzucał był raz za razem głowę w tył, a ta wracała mu na kark posłusznie, przy każdym syknięciu...

- Szalamok usarik macak fulek...

Po chwili do łazienki weszła Wioletta Wręga - była Indianka, obecnie nieoficjalna kochanka Smugi. Dziewczyna o płaskiej, wydrzej twarzy, równie płaskich, rozłożystych piersiach i takowych pośladkach. Pamiętam jak Tomek często naigrywał się bezczelnie z Wiolettą, sugerując publicznie, że brakuje jej płaskiego, bobrzego ogona.

- He, he - rechotał wtedy pan Andrzej - Janek ma ogon i też taki jakby żywcem z bobra zdjęty...

Lubięny staruch nie zdawał sobie nawet sprawy, ile w tych żartach niewybrednych było prawdy, bo wiem rzeczywiście przyrodzenie pana Smugi wyglądało jak bezmyślnie rozprasowany płat mięsa. Rubaszne i nieprzyzwoite z gruntu dowcipy zawstydzaly zwykle pana Jana, a Wioletta sykała wtedy wydrzo i trzepotała wąsikami. Chcąc jeszcze

dogryźć Smudze, odzywał się wtedy Tadzio Nowicki waląc zazwyczaj wulgarnie i prosto z mostu:

- Jak ma takiego płaskiego, to ciekawe jak mu wchodzi... Cha, cha! - dorzucał zwykle coś w tym stylu, ale ku jego zdziwieniu nikt nie podejmował wtedy tematu, a wręcz przeciwnie - śmiechy milkły, Smuga odzyskiwał REZON, a Tomek spoglądał z politowaniem na marynarza:

- Oj, panie Tadeuszu...

Nawet starszawy i obleśny Andrzej Wilmowski zwykł był mawiać wtedy:

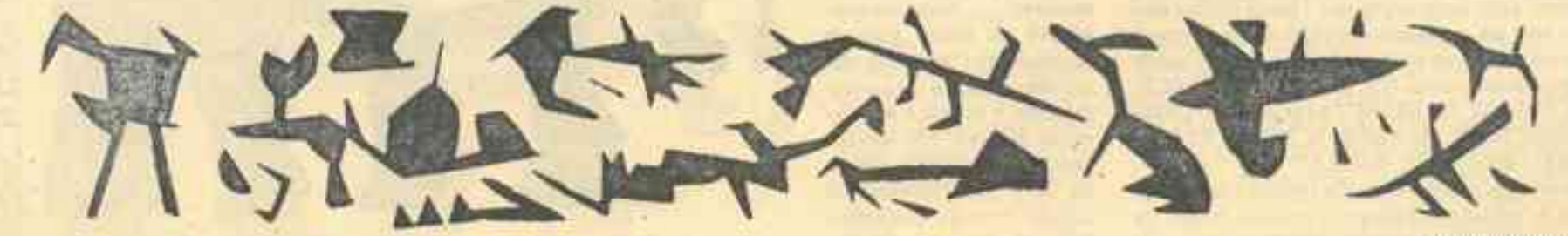
- Żenada... - i powracał do swych robótek. Smuga tylko czekał na taką sytuację i palnął bez namysłu:

- Zajmij się pan lepiej swoją pałą, bo... - szukał gorączkowo słów, bo konceptu mu nie stanęło, ale to wystarczyło - roześmieli się wszyscy natychmiast, oprócz Nowickiego, który i tak chcąc, nie chcąc, musiał dorzucić po chwili swoje tubalne - Cha, cha? - aby nie wyjść na zupełnego głupka.

Wioletta z traskiem zwała swój elastyczny biustonosz i monstualne,

miękkie jak owocowa maź piersi zaczęły furkotać w podmuchach japońskiego wentylatora przytwierdzonego bretnalem do powaly. Zaczęła szybciej oddychać, wbiwszy wpródy wzrok w owłosione, muskulane pośladki Smugusa. Wielkie jak dłoń i różowe z lekka sutki plaskały ją od czasu do czasu po twarzy, nadając krwi szybszy rytm, a po chwili już, jakby pod dotknięciem magicznej pałeczki spadły z niej koronkowe reformy i nadmiernie wybujałe owłosienie kroczone, także wprowadzone w ruch pracą wentylatora łopotąło w przestrzeni łazienki, splatając się na poły celowo, na poły przypadkowo w misterne warkoczyki i pętalki. Smuga wpięrowo przypuścił jej obecność instyngtownie, a upewnił się, gdy łono wa sierść kochanki zaczęła go muskać boleśnie w plecy, a ostre brodawki dziobały go natarczywie w łopatkę.

Koniec odcinka drugiego.



ANDRZEJ AWBIEJ

- Teraz ogląda się wokół jakby za-  
błądził i nagle zdał sobie z tego spr-  
awę. Czego on tak uporczywie szuka?  
- Może nie tego, co chce gwałtem  
przyciągnąć jego uwagę. Może wszy-  
stkiego.  
- Ktoś przerywa jego zamyślenie.  
Zmieształ się. Wymieniają kilka słów,  
ale już na dystans.  
Znasz go od dawna?  
- Od dawna, tak. Ale kto się odważy  
powiedzieć, że go naprawdę zna?  
A jednak...  
- Jednak?  
- O tym jestem przekonany, że to  
raczej z jego winy niż z mojej. - Pró-  
bowałem. Nie udało mi się. Pod po-  
zorem uprzedzającej grzeczności,  
uprzejmości, rozbijającej przychyln-  
ości pozostaje nieodgadniony.  
- Aż tak?  
- Tak i nie, przyznaję. Nieuchwytny,  
bo tak łatwy z początku do okreś-  
lenia.  
- Co chcesz przez to powiedzieć?  
- Tylko wygląd daje się łatwo okreś-  
lić. Głębia, to co innego. A co do  
niego, ucieka nie uciekając. Jest tu  
i go nie ma. Obecny i nieobecny.  
Bliski i daleki. Czasem tak daleki, że  
nadzieja dogonienia go byłaby absur-  
dalna.

- Czy można go za to winić?  
- Nie sądzę. Chociaż doceniony,  
uszanowany i czasem serdecznie  
przyjmowany — zawsze żył na mar-  
ginesie. Na marginesach niewyczer-  
panej książki.  
- O jaką książkę chodzi?  
- O naszą. To znaczy o tę, której  
jesteśmy zarazem autorem i czyteln-  
ikiem, której nigdy nie skończymy  
czytać, pisać.  
- O wszystkie książki razem, zebrane,  
które pewnego dnia będą tylko  
jedną.  
- Księga.  
- Czy wydał dużo utworów?  
- Z dwadzieścia.  
- Tyle co ty.  
- I co ty.  
- Zbieg okoliczności.  
- Ty też powinieneś bardziej zainte-  
resować się jego pismami.  
- Nie jestem pewien czy je docenię.  
- Przeczytaj je najpierw.  
- Tak właśnie odpowiada niezmienn-  
ie, gdy zapytać go o opinię w spr-  
awie dzieła, które go zainteresowało.  
Stosunek do książki jest osobisty.  
Wielka książka odstawia się tylko  
przed tym, kto ją podejmie.  
Mówił mi, że my, sami będąc zaga-  
dkowym tekstem, próbujemy ją bez-

skutecznie rozszyfrować, strona po  
stronie. Czytając książkę — dodawał  
— czytamy tylko tę odrobinę naszej  
duszy, którą ona zawiera. I to, czego  
ona uczy, starcza często by nas za-  
chwycić albo zniszczyć.  
Autor i czytelnik są w równym  
stopniu uwikłani w przyszłość ksią-  
żki, nie będącej już jej przyszłością,  
ale ich. To co pozostaje do napisania  
i przeczytania rysuje linię ich drogi.  
A gdyby ten rysunek nie był niewin-  
ny? Czy znaczyłyby to, że każdy los  
jest zapisany i dlatego możliwy do  
odczytania wcześniej?  
Często też lubił powtarzać, że bę-  
dąc przeszłością i stawianiem się stro-  
ny, której żaden pisarz do tej pory  
sobie nie przywłaszczył, ratował ją  
przed duszącą anonimowością pod-  
pisując się swoim imieniem.  
Nigdy nie pisze się książki, lecz  
tylko jej rodowód i kres, te dwie  
przepaści.  
- Twój przyjaciel umarł? Przywołu-  
jesz go — i to mnie niepokoi — w czasie  
przeszłym, chociaż stoi na tamtym  
chodniku, żywy i najwyraźniej zdro-  
wy.  
- Mawiał mi: „Widzi pan, nie mam  
twarzy. Ta, z którą się obnoszę, jest  
obliczem chwili. Jeżeli pisarz jest ob-  
cym, to właśnie dlatego, że pożycz-  
a od języka jego twarz, żeby siebie  
samego wyrazić.  
Może i nie ma książki, lecz istnieje  
natrętność jednej kartki, którą zajęło  
pismo, i której druga kartka naprzy-  
ksza się za chwilę. Odbicie wydane na  
laskę swoich odbić.  
To nie siebie pokazuje pisarz, ale

słowa, które go opisują i o nim opo-  
wiadają. Cienie i światła pewnej, po-  
jedynczej godziny, pewnego, poje-  
dynczego życia.”  
- Zawsze to dwuznaczne „mawiał”.  
Zadziwiasz mnie. Czy to celowo?  
- Rozmawiając z nim albo go czyta-  
jąc nieraz miałem wrażenie, iż po-  
grzązał się w niepamiętnej przeszłości,  
gdzie trzepocze się moja przeszłość.  
Wiem, od zawsze, że jego słowa są  
moimi, ale tak zapadły w pamięć, że  
trzeba było, aby współczesny głos mi  
je zwrócił.  
„Każda książka istnieje poza cza-  
sem, — mawiał. Pisarz usiłuje wpro-  
wadzić ją w swój wiek. Jeśli mu się  
udaje, to znaczy, że jego książka jest  
dobra; jeśli przegra, ofiaruje swoje-  
mu czytelnikowi tylko kilka nieusp-  
rawiedliwionych stron.”  
- Słuchając cię można by sądzić, że  
masz do czynienia z duchem.  
- Z człowiekiem z krwi i ciała; krwi  
i ciała jak moje, tak. Z obcym, który  
odstąpił mnie mojej obcości, otwiera-  
jąc mnie mnie samemu.  
Mawiał: „Pisarz jest obcym par  
excellence. Nie mając nigdzie prawa  
pobytu chroni się w książce, skąd  
słowo go wypędzi. I nowej książce za  
każdym razem będzie zawdzięczał  
swoje ocalenie.  
Wieczny parias.”  
- Czy jest Żydem?  
- Jest. Ale skąd to pytanie?  
- Nie ma w nim nic dziwnego. Kiedy  
mówi się „obcy” myśli się „żyd”.

Tłumaczyły:

Isabelle Macor-Filarska,  
Ewa Graczyk, Dorota Siwicka



MACIEJ KONOPKA

Ale niczym, które nasłuchuje”. Jest to nakaz  
zapisany w tekście biblijnym „słuchaj Izraelu!  
(Szema Israel!)”. Jest to wezwanie do słucha-  
nia, gotowości posłuszeństwa, przynależności,  
wierności, pamięci. Wezwanie o rozpoznanie.  
Bycie uważnym. Najpierw słuchać. Ale patrzeć  
także.

Wszystkie te pojęcia opisują pewien stosu-  
nek do słowa, który nie jest obcy doświad-  
czeniu poezji francuskiej. Poeta mówi: „Widzę  
słowo. Widzę jak się kształtuje, zarysowuje.  
I słyszę je zarazem. Najpierw rodzaj szeptu,  
który począwszy od jakiegoś słowa nagle,  
nabiera znaczenia”. Sam kształt słowa nasuwa  
obraz. Przypomnijmy sobie kaligrama Apol-  
linaire’a i samogłoski Rimbauda, poszukiwa-  
nia poetyckie Mallarmego. Poeci starali się

wykorzystywać możliwości dźwiękowe i grafi-  
czne słów, łącząc je czasami, aby stworzyć ich  
nowy sens. Sztuka poety próbuje wyzwolić  
słowo z użytkowej przypadkowości i arbitral-  
ności znaku. W dziele Jabesa uderza sakraliza-  
cja związku poety i słowa, objawiająca się we  
wzajemnym wyborze, gdzie słowo wybiera  
poetę i poeta wybiera słowo. W związku  
odzwierciedlającym wybór narodu żydowskie-  
go przez Boga i Boga przez naród żydowski.

„Opuszczył Jerozolimę aby odnaleźć Jerozo-  
limę” mówi Mędrzec w *Księdze Pytań*. Od-  
dalenie się od własnych korzeni, odcięcie dają-  
ce dystans niezbędny, by odnaleźć się na no-  
wo, pozwala Jabesowi powrócić do tradycji  
żydowskiej w momencie, gdy wydawało mu  
się, że zbliżał się do źródeł poezji francuskiej

zawsze tak bardzo go pociągającej. Tekst  
wyzwania i zerwania, *Księga Pytań* odcina  
poetę od jego rodowodu, a jednocześnie wy-  
kluca go z tradycji, do której chciał „wejść”.  
Paradoksalne, jego pierwszy, napisany w Egip-  
cie zbiór poezji *Buduję swój dom* bliski był  
tradycji poezji zachodniej. Poeta urodzony  
w Kairze w 1912 roku i zmuszony do opusz-  
czenia Egiptu w 1957 przyjeżdża do Paryża  
i żyje w mieście poetów, których czuł się  
spadkobiercą. „I zamiast umocnienia więzi  
dzieje się coś odwrotnego. Odnajduję się w od-  
daleniu, jednak nie na uboczu lecz przez samą  
odległość. Bo to od siebie samego się od-  
dalałam”. W tym oddaleniu, przemieszczeniu  
poeta wyrusza na poszukiwanie siebie jako  
Obcy zamieszkujący symboliczną pustynię  
przestrzeni literackiej. Nie może zniem-  
nić, osiąść. Pisarz i Obcy są obywatelami  
innego świata, dlatego też mogą pozostać  
jedynie w fundamentalnej samotności, w od-  
daleniu pozbawiającym ich samych siebie i po-  
zwalającym im się odnaleźć. Tożsamość wy-  
różnia Obcego, gdyż tylko on jeden, prócz Boga,  
może powiedzieć „ja”. Nikt tego „ja” mu nie  
odbierze. „Kiedy wszyscy mówimy „ja”, nie  
ma już „ja” bez wyłączności. Chcąc powie-  
dzieć „ja” muszę być jedynym by móc to powie-  
dzieć”. Lecz to niemożliwe. Oto dlaczego „ja”  
nie istnieje, może istnieć tylko w Obcym,  
któremu nikt nie próbuje „ja” odebrać. To  
„ja” jest jego własnością. „Tak naprawdę,  
jedynie Bóg, gdyby istniał, mógłby powiedzieć  
„ja”. My, w pewnym sensie, powiedzieć tego  
nie możemy”.

Inny nie jest tym Samym i to dzięki Drugie-  
mu, czyniącemu z ciebie Obcego osiągasz „ja”,  
twój byt, tożsamość.

Kładąc nacisk na fundamentalne doświad-  
czenie, jakim jest spotkanie Innego, szczególna  
twórczość Edmonda Jabesa podejmuje temat  
często nurtujący francuskich intelektualistów.  
Czy *Obcy, z książką małego formatu, pod ramie*  
nie odsyła nas do tamtego Obcego. Obcego  
Camusa? I czy pojawienie się w tym roku tych  
dwóch utworów u tego samego wydawcy jest  
zupełnym przypadkiem? Paul Ricoeur opub-  
likował niedawno książkę pod tytułem *So-*

*i-mème comme un autre (Ja sam jako inny)*,  
w której stara się dać nową interpretację  
pojęcia podmiotu. *My i inni* Tswetana Todoro-  
va analizuje dwa dominujące w rozmyślaniach  
nad tożsamością nurty: „relatywizm” i „uni-  
wersalizm” obydwa prowadzące, zdaniem au-  
tora, do impasu. Rozważania o tożsamości  
zajmują od pewnego czasu ważne miejsce na  
francuskiej scenie intelektualnej. Niewątpliwie  
największe znaczenie ma niekończący się dia-  
log Emmanuela Levinasa z Jacques Derridą  
— o inności, odrębności i innym, miłości i od-  
powiedzialności.

Ostatnia, mała książka Edmonda Jabesa  
*Obcy, z książką małego formatu, pod ramie*  
to nowe, niezwykle, niepokojące i dlatego cenne  
pytania do tych rozmyślań o obcości.

Isabelle Macor-Filarska

O poezji Jabesa pisali m.in. Maurice Blan-  
chot (w:) *L'Entretien infini*, Gallimard 1969  
i (w:) *L'Amitié*, Gallimard 1971; Jacques Der-  
rida (w:) *L'Écriture et la différence*, Le Seuil  
1967; Joseph Guglielmi (w:) *La Ressemblance  
impossible*, Edmond Jabès, E.F.R. 1978.

Edmond Jabès urodził się w Kairze w roku  
1912. Zmuszony do opuszczenia Egiptu  
w 1957 zamieszkał w Paryżu, przyjmując oby-  
watelstwo francuskie.

W roku 1959 opublikował tom wierszy z lat  
1943-57 zatytułowany *Je bâtis ma demeure*.  
Następnie w latach 1963-73 wydał siedem  
tomów *Livre de Questions*, której dalszą czę-  
ścią są trzy tomy *Livre des Ressemblances*  
(1976-80). Kontynuacją tych dwóch cykli jest  
*Le petit livre de la subversion hors de soupçon*  
(1982) oraz *Le Livre du Dialogue* (1984), *Le  
Parcours* (1985), *Le Livre du Partage* (1987)  
i *Un Étranger avec, sous le bras, un livre de petit  
format* (1989).

Utwory Edmonda Jabesa tłumaczone były  
w Niemczech, w Hiszpanii, w Szwecji, w Iz-  
raelu, we Włoszech i w Stanach Zjednoczo-  
nych. W Polsce fragmenty utworów i wiersze  
tłumaczył Józef Waczków („Literatura na  
świecie”, 1986, nr 2).

Edmond Jabès zmarł w Paryżu, w styczniu  
1990 roku.

## teatr

Hanna Baltyn

Od kilkudziesięciu lat miasto stołeczne zaprzęta dwa problemy. Jak zbudować metro i jak wystawić prawdziwy musical. No i mamy, choć w części, czegośmy chcieli. Przemysłowiec Wiktor Kubiak, który chciał sobie kupić Pałac Kultury, na razie uprawia kulturę w części Pałacu, w sali wynajętej od

korzystać tych drugich, łagodnie usypiających ludzi do snu. Sam Janusz Stokłosa robi zresztą furorę, pojawiając się na scenie we fraku, dżinsach i trampkach, z czerwonym akordeonem przy piersi, by akompaniować pieśni o nudzie (w programie, zdaje się, widnieje pomysłowy tytuł *Bluzwis*).

# Metro – Kubiak – Józefowicz

Teatru Dramatycznego. Na jego zamówienie Janusz Józefowicz wyreżyserował tu musical *Metro*.

Wszystko tu pierwsze, co nie znaczy, że lepsze. Ewenementem jest fakt, że scenariusz musicalu to produkt rodzimy, dzieło zbiorowe Agaty i Maryny Miklaszewskich. O inspiracjach owego dzieła pisze skromnie autor programu, złożonego w całości z not biograficznych. O Agacie Miklaszewskiej czytamy: „...Stan wojenny zastał ją we Francji. Podczas, gdy jej siostra, Maryna, wdała się w dziennikarską działalność opozycyjną w kraju, gdzie na co dzień stykała się z rzeszą młodych ludzi, oddających wszystkie swe umiejętności i zapal w pracę w podziemiu, Agata z bliska obserwowała inne podziemie – underground zachodniej metropolii, gdzie młodzież, buntująca się z zupełnie innych pobudek temu, co „na górze” – śpiewała w metrze”. Dwa błędy gramatyczne nie mącą szczeremu wzruszeniu, które każę akapit zakończyć.

Mamy też naszą, polską muzykę, Janusza Stokłosa, znanego kompozytora teatralnego, specjalizującego się w przedstawieniach śpiewanych. Złego słowa na jego muzykę nie powiem, choć proporcja numerów dramatycznych i lirycznych wydaje mi się zachwiana na

Z noty biograficznej Józefowicza dowiadujemy się, że jest on bardzo zdolnym polskim choreografem. Nie jedynym jednak, bo Wojciech Misiuro z Teatru Ekspresji też świetnie pracuje z młodymi ludźmi. Poza tym Józefowicz pokazał już co potrafi, przy okazji *Złego zachowania*. Niezaprzeczalną nowością jest wszakże, że stał się realizatorem pierwszego w Warszawie zupełnie prywatnego przedsięwzięcia teatralnego wyprodukowanego przez pana Kubiaka za własne pieniądze i jeszcze obliczonego na dochód. Dowodzi to, że siła i chęci nam nie brakuje i gdy środki się znajdują, nie będziemy stać w tyle za Ameryką.

Zespół składa się z 36 osób pozyskanych przeważnie metodą prasowych ogłoszeń. Średnia wieku, co pracowicie obliczyłam, wynosi niespełna 23 lata. Są tu mistrzowie break-dance’u, tancerki z baletu, mistrzowie tańca towarzyskiego, debiutujący wokaliści i kompozytorzy, jedna dyplomowana aktorka i nawet wicemistrzyni świata w akrobatyce. Wszyscy „od dziecka” marzyli o śpiewaniu i występach na scenie. Większość nie miała szczęścia dostać się do artystycznych szkół, ale musical Józefowicza rekompensuje to z nawiązką. Wielomiesięczne próby doprowadziły do tego, że zespół jest bardzo dobry. Niepotrzeb-

nie tylko od czasu do czasu musi coś ze sceny mówić. Zarzut drętwoty i sztuczności dotyczy również doangażowanych ku ozdobie gwiazd. Zwłaszcza gwiazda Bogusława Lindy słabo świeci.

Wreszcie scenografia i efekty specjalne. Budowa Janusza Sosnowskiego dwupoziomowa, konstruktywistyczna, ażurowa, ze schodami – jest bardzo funkcjonalna, choć sama z siebie nie rzuca widzów na kolana. Efekt szokowy dają natomiast LASER MEDIA (stosowane zresztą, może z oszczędności, ze skromnością i umiarem). To firma, która „oprawia” wizualnie koncerty Michaela Jack-

kupuje, a dół zostaje na lodzie, ze złamanym sercem (choć wątek liryczny rozwija się dość niewyraźnie). I tyle.

Bunty młodzieży wyrażane są wyjątkowo nienaturalnym, siłowym się na podrobienie stylu nastolatków językiem. Dlatego wszystkie partie mówione zenują, jak każda obserwacja niespełnionych wysiłków. Konstrukcja dramaturgiczna, co powtórzyła reżyseria, jest luźna, zbyt luźna, a części niesprawnie zmontowane. Dłgie jak maraton żółwia przeczady obrotowej sceny wpędzają widza w stan uporczywego stuporu, którego realizatorzy niczym nie przerywają. *Metro* pozbawione jest zarówno dramaturgii, jak tempa. Za mało tu życia, za dużo kitu.

Są jednak momenty wielkiej piękności, zadziwiające inwencją, na przykład wspaniałe taniec baletnic w klasycznych „labędzich” kostiumach fosforujących w ciemności. Użyto tu nie stosowanej w Polsce techniki „czarnego” teatru. Pełne dynamiki, energii i atrakcyjnych numerów akrobatycznych są także części o zakazie występów w metrze oraz tej pod tytułem *Pieniądze* (tak w ogóle to czterokrotnie za długiej).

Przy okazji *Pieniądze* daje się słyszeć credo artystyczne nowej trupy: ludzie muszą zaplać, żeby się dobrze bawić. Psychologicznie jest to zdanie głęboko prawdziwe, aczkolwiek jeszcze mało popularne w sentymentalnej Polsce. Krzyżówka słowiańskiego sentymentalizmu i amerykańskiej techniki to pierwsza próba, pierwsze koty za ploty. Ma swoją rację bytu i – o ile bilety nie będą niebotycznie drogie – na pewno znajdzie publiczność. Lepiej, czy gorzej wyszło, ale do premiery doszło.

Przemysłowcy miejście – na start!

sona. Lasery-bajery po raz pierwszy były u nas widziane na scenie teatralnej (efekt zielonego tunetu metra – bajeczny!) i słusznie nagradzane wielkimi brawami.

Zaistniał także swoisty V-Effekt. A to dzięki udziałowi czarnego showmana podkupionego grupie „Up with people”, Marca Thomasa. Wiadomo od początku świata, więc i od początku historii teatru, że dzieci, naturščyzycy i inne stworzenia boże „mordują” na scenie zawodowców i przyćmiewają ich wysiłki swoistym wdziękiem i nieporadnością. Takie właśnie efekty dawały przemówienia i komentarze w języku Słowian wygłaszane często gęsto przez Thomasa.

A co do całości przedsięwzięcia, było tak. Treść, czyli fabuła *Metra* nie nastęrczy nikomu kłopotów percepcyjnych. Zadzziwia prostotą. W jakimś mieście, w jakimś czasie żyje sobie dwóch artystów, ustawionych jak Paweł i Gaweł – jeden na górze, w wytornym studio, drugi na dole, w brudnym metrze. Górny przeprowadza eliminacje wśród młodzieży, nikogo z utalentowanych tancerzy i śpiewaków nie wybiera do swej rewii i takim to sposobem sfrustrowane nastolatki trafiają do dolnego, który z ich udziałem tworzy teatr w metrze, sensację sezonu. Wtedy górny ich wszystkich

*Metro* musical finansowany przez Wiktora Kubiaka i PZ BATA, muzyka: Janusz Stokłosa, tekst i piosenki: Agata i Maryna Miklaszewskie, adaptacja, choreografia i reżyseria: Janusz Józefowicz, scenografia: Janusz Sosnowski, kostiumy: Ewa Krauze i Magdalena Maciejewska, efekty laserowe: Mike Deissler – LASER by LASERMEDIA, Los Angeles, premiera w styczniu 1991 w Teatrze Dramatycznym w Warszawie.

## sztuka

Justyna Guze

# Leon Tarasewicz w Krzysztoforach

Po okresie dominacji ultramarynowych błękitów i czerni, później czerni i bieli, po tonacji „ekologicznej” (brązy i szarości, zieleni traw i drzew) sztuka Leona Tarasewicza zmierza ku zestawieniom coraz bardziej kontrastowym i akcentom coraz jaśniejszym. Czerwień i oranż z niektórych jego wcześniejszych płócien ustępują miejsca ostrym żółcieniom, barwie nieczęsto spotykanej we współczesnym malarstwie. Sposób, w jaki artysta posługuje się kolorem, także odbiega od jego wcześniejszych zastosowań. Uważniejsze przyjrzenie się niedbalej na pozór – „taszystowskiej”, jak to niefortunnie nazwał recenzent krakowskiego „Czasu” – fakturze jego obrazów, ujawnia ich skomplikowaną strukturę formalną. Żółta plama – chropawa i niejednorodna, agresywna i jaskrawa, pełni rolę ostrego światła, które splaszcza pierwotne barwy i kształty przeświecające przez ostatnią warstwę niektórych jego obrazów. W innych z kolei ostre, żółte światło przenika nieoczekiwanie ciemności zasadniczej struktury kompozycji. Warstwa żółcieni kładzionych matowo,

a zarazem na sposób jakby laserunkowy, skrywa i odsłania jednocześnie zasadniczy kształt kompozycji.

Pomimo zmodyfikowanej gamy barwnej i odmiennego sposobu posługiwania się kolorem, Tarasewicz pozostaje wierny swym motywom. Także i tym razem – pokaz siedmiu, namalowanych ostatnio obrazów w Galerii Krzysztofora: 15 stycznia – 15 lutego – wraca do archetypowego niemal motywu swojej wizji świata, a mianowicie do lasu; przy czym jego najnowszy las to już nie pnie drzew w bieli śniegu lub w błękitach zimowych cieni. Nie są to też skonstrastowane lasy tropikalne, reminiscencja dalekich i egzotycznych podróży. Najnowszy las Leona Tarasewicza to las latem, kiedy ciemna i gęsta zieleń, przechodząca niekiedy w ciemny błękit, na wskroś przeszyta jest promieniami zachodzącego słońca albo oślepienia słońcem w zenicie.

Abstrakcyjny język form ma u Tarasewicza głębokie korzenie w obserwowanej przezeń rzeczywistości i stanowi swego rodzaju fenomenologiczne podsumowanie jego artystycznych poszukiwań.



LEON TARASEWICZ

Poszukiwań długich i żmudnych, których wynik staje się w pełni zrozumiały i czytelny tylko dla tych, co zechcą poświęcić im więcej uwagi, więcej aniżeli wymaga tego pośpieszne przebiegnięcie przez wystawowe sale, w czym celują mniej sumienni recenzenci. To dla nich obrazy Tarasewicza są jedynie dekoracyjnymi fryzami, których wielkość mierzy się w metrach biejących...

Wydaje się, że Tarasewicz ponownie odkrywa przed nami, mieszkańcami betonowych bunkrów i asfaltowej dżungli, nową Arkadię, do której drogę zagubiliśmy w codziennym pośpiechu i własnej powierzchowności. Nie dajmy się jednak

zwieść pozornej naiwności tej sztuki. To malarstwo jest głęboko przemyślane, mimesis jest całkowicie obca twórczości Tarasewicza, a prostota to rezultat długotrwałej sublimacji form istniejących w naturze.

Wbrew opinii niektórych krytyków Tarasewicz nie konfekcjonuje natury w swych wielkich i barwnych poliptykach. Jego malarstwo wydaje się proste, łatwe i dekoracyjne tym tylko, „którzy nic nie wiedzą, niczego nie kochają”. A szkoda, bo w rezultacie Tarasewicz bardziej znany i ceniony jest za granicą, aniżeli we własnym kraju.

Jan Zieliński

Z listów do Mieczysława Grydzewskiego 1946—1966. Wybór, wstęp i opracowanie Rafał Habielski, POLONIA, Londyn 1990.

Redagować przez prawie pół wieku tygodnik, który najpierw skupiał najlepsze pióra Polski międzywojennej, a później czołową grupę pisarzy emigracyjnych, to prawdziwa sztuka. Dokazał jej redaktor „Pro Arte et Studio”, „Skamandra”, „Wiadomości Literackich”, „Przyjaciela Psa”, „Wiadomości Polskich, Politycznych i Literackich”, wreszcie „bezpamiętnikowych” już „Wiadomości”, Mieczysław Grydzewski. Warszawski historyk czasopiśmiennictwa, Rafał Habielski, wybrał z londyńskiego archiwum „Wiadomości” listy jedenastu nieżyjących już pisarzy emigracyjnych do Grydzewskiego, książkę wydała londyńska POLONIA. Gdyby tak jeszcze towarzyszył jej tom drugi, zawierający listy Grydzewskiego do tychże pisarzy...

Wydanie „dwukierunkowe” byłoby z pew-

jak: „król, słońce, hetman, herb, szlachcic, kasztelan, bryczka, konwalia, stangret, sałata, cytryna, pomarańcza i w ogóle 95% słów”. Klócił się też z Grydzewskim o honoraria, osobliwych używając argumentów, a mianowicie grożąc redaktorowi... czyścić; „Nie wtrącam się do Pańskich spraw prywatnych, ale nie wiem, czy optaci się siedzieć jakieś 600 czy 750 dni i nocy w czyścowniczej rozpalonej smole niż teraz, kiedy literalnie zdycham z głodu, dać mi zaliczkę, która mi pozwoli przetrwać do 25 września.”

Wierzyński z Grydzewskim wymieniali w listach fotki (szkoda, że nie ozdobiło nimi tomu). Listy Wierzyńskiego poruszają mnóstwo rozmaitych spraw — dla mnie najciekawsza była informacja o genezie przedwojennego wiersza „Lato w mieście”, wiadomość o tym, że Wańkowicz umieścił swój biogram w *Who is Who in World Jewry*, oraz obszerny list z 15 czerwca 1956 o ostatnich dniach i śmierci Lechonia (listy tego ostatniego do Grydzewskiego, jak podaje Habielski, „zostały wykra-

zobaczyć jego prawdziwą twarz”), o swoim zdrowiu (źle), o przyjaciółch i ich twórczości (czasem bardzo ostro i trafnie: „Niektóre genialne w swym okrucieństwie, jak n.p. ten, gdzie siedzą naprzeciw siebie dwaj Leszkowie: jeden z piórem młody, chudy, drugi — stary z widelcem” — to o rysunkach Czermańskiego, przedstawiających Lechonia).

Listy Stefana Badeniego to parada nazwisk, anegdot i faktów historycznych. Własnym pasjom Grydzewskiego przydaje się tu historyczne parantele: „Szanowny Panie Redaktorze! Dobrze jest mi znane, co Rzewuska pisze o Albercie Mierze (1759—1831), który zmarł ze złości o błędy językowe. Jak to dobrze, że prawdolubski [tj. Grydzewski] nie ma usposobienia cholerycznego!”

Przez listy Ferdynanda Goetla wciąż przeżywa się wątek stosunku do kraju. Jak wiadomo, po wojnie Goetel, poszukiwany listami gończymi pod zarzutem kolaboracji, przez zieloną granicę przedostał się na Zachód. W pierwszym liście do Grydzewskiego melduje się z obozu w Lovercroft i zapowiada chęć wydania... tomu poezji. W następnych domaga się, by jego artykuły, drukowane w „Wiadomościach”, ukazywały się pod pseudonimem „A. Arkan” („Artykuły polityczne lub zbliżone chciałbym na razie drukować pod pseudonimem, licząc się, że z chwilą gdy przejdę do ataku spotkam się z atakiem z wiadomej strony. Nie wiem do tej pory, czy rodzina moja opuściła Polskę, tak jak się to miało stać. Otóż względ na nią nakazuje mi jeszcze ostrożność. Osobiście najchętniej bym poszedł od razu na rozprawę i to nie tylko z obcymi, ale i z wielu niepoczytalnymi ludźmi, którzy mi zatruili życie na wychodźstwie.” Okazało się jednak, że rodzina nie wyjechała. U progu października 1956 Goetel otrzymał list z kraju, od swojej żony, która dowiedziała się od miarodajnej osoby, że mógłby w nowej sytuacji wrócić, że będą mu darowane wszelkie winy, że może przywieźć wszystko, co napisał i wydał na emigracji, że wreszcie będzie mógł pracować literacko, byle by „nie pisał rzeczy godzących w ustrój obecny”. Listowi do Grydzewskiego towarzyszyła kopia odpowiedzi udzielonej żonie — wielka szkoda, że jej w książce nie zamieszczono.

Wacław Alfred Zbyszewski pisze z właściwą sobie zgryźliwością, nikogo nie szczędząc (w paru miejscach edytor czuł się zmuszony do cięć). Czytamy zatem „o tym nędznym głupekciu Mickiewicz”, czytamy że o Mackiewicz („Wariat Mackiewicz podpisuje teraz listy do mnie Stanisław z Jańczy Mackiewicz. Zupełnie facet kuku na muniu.”), o Gałęzińskim („kanalia”) i o Pragierze („Żydo-faszysta.”) Wśród tych barwnych epitetów i obelg wręcz humorystycznie wygląda pretensja Jerzego Stępowskiego-Hostowca: „I jak zabawnie wygląda Hostowiec pisząc do 'Kultury' listy z oburzeniem na ataki personalne starego Sokolnickiego, kiedy własny jego papo nie umie pisać inaczej, jak tylko per idiota, bałwan, kanalia etc.” Oburzał się kocioł na garnek.

W odróżnieniu od poprzednika, Marian Kukiel pisze grzecznie i krótko, stylem przystającym ministrowi obrony narodowej. Znaleźć można w jego listach między innymi ciekawe uwagi o sadyzmie Żeromskiego oraz o Karolu Radku.

Wreszcie Zdzisław Czermański, rysownik i prozaik. Jego listy są sympatyczne („Muszę Ci powiedzieć, Drogi Mieczu, że bardzo Cię lubię”) zgodliwe („dziękuję Ci za poprawki w moim wspomnieniu o Leszku. Bardzo się przydały i bardzo mi się podobają”) pełne entuzjazmu („numer jest świetny”) wesołe („Ubawiliśmy się z Wierzyńskim przy czytaniu portretu Wittlina napisanego przez Big-Bena”). I znów szkoda, że w tym starannie wydanym tomie (ważniejsza niż zwykle korekta, oszczędne, ale sensowne na ogół przypisy, „Grydz” rysowany przez Topolskiego na okładce, zdjęcia wszystkich autorów) zabrakło choć paru rysunków Czermańskiego, o których mowa w listach.

Kim był Mieczysław Grydzewski, w czym tkwił sekret jego sukcesu? Józef Mackiewicz pisał najpierw (25 października 1950): „W jaki sposób umiał Pan pogodzić najbardziej przeciwstawne nieraz poglądy swoich pisarzy, z wyrazną indywidualnością i kon-



sekwentną linią pisma, nie da się zapewne wytłumaczyć jednym zdaniem. Sądzę, iż należy to do dziedziny talentów, graniczących nieomal z genialnością. Osobiście uosabiał Pan dla mnie jedyną i ostatnią w Polsce ostoję najszlachetniejszego liberalizmu.” Ale później (w liście z 25 lipca 1957) diametralnie zmienił zdanie: „Odkąd 'Kultura' stała się pismem jednostronnie politycznym, o wyraznym kierunku popierającym polskich komunistów w ich własnej drodze do socjalizmu”, pozostały tylko „Wiadomości”. Wydaje mi się, że niezupełnie zdaje Pan sobie sprawę z ogromu odpowiedzialności, jaki spadł na Pana, aby ratować resztki polskiego liberalizmu.” I tłumaczył, o co mu chodzi, na przykładzie oceny zmian w kraju: „W stosunku do tego, co się w Polsce dzieje, nie powinno być dziś ani jednego Polaka, a na łamach 'Wiadomości' ani jednego pisarza polskiego, któremu można by zabronić wypowiedzieć absolutnie wszystko cokolwiek chce i cokolwiek o tym myśli. To za poważna rzecz, ażeby ją poddawać cenzurze Mieczysława Grydzewskiego albo Jego osobistym poglądom. [...] O tym właśnie chciałem mówić, mówiąc o braku liberalizmu.”

Józef Mackiewicz jest wśród autorów omawianego tomu przypadkiem wyjątkowym, on jeden bowiem przeszedł zasadniczą ewolucję swego stosunku do Grydzewskiego; najpierw godził się nieomal z góry na poprawki, potem przeciw nim protestował, najpierw chwalił liberalizm, potem zarzucał brak liberalizmu. W tym ostatnim względzie sekundeje mu jego brat, który już 25 października 1948 zaczął list zdaniem: „Pańska tyrania wywołuje we mnie odruchy rozpaczny”.

Kim zatem był Mieczysław Grydzewski — ostoja liberalizmu czy tyranem? Wydane przez Rafała Habielskiego listy stawiają to pytanie, acz nie udzielają na nie jednoznacznej odpowiedzi. Mam niejakię podejrzliwość, że w tym szczególnym przypadku trzeba zawiesić logikę dwuwartościową i powiedzieć: sukces „Wiadomości” kryje się w tym, że ich redaktor był zarazem liberałem i tyranem. Że tolerował na łamach swojego pisma rozmaite poglądy i opcje, a zarazem trzymał się swoich zasad i upodobań. Że w rozmowach i listach pozwalał swoim partnerom mówić własnym głosem, ale nie dopuszczał, żeby doszło do kakofonii. Liberalny tyran. Tyraniczny liberal. Liberal. Tyran. Mieczysław Grydzewski.

<sup>1</sup> Recenzja pisana na zamówienie „TL” i nowojorskiego „Przeglądu Polskiego”.



rysował MACIEJ KONOPKA

## Liberał czy tyran?

nością cenniejsze jako materiał dla historyków literatury. Ale odpowiedzi Grydzewskiego, choć zapewne różnicowane tematycznie, wprowadziłyby pewną jednostajność stylistyczną. Tymczasem główny urok niniejszej publikacji tkwi w idealnej różnorodności jedenastu korespondencyjnych rozmówców redaktora „Wiadomości”. Może tu właśnie kryje się klucz redaktorskiego sukcesu — w tej umiejętności rozmawiania z każdym pisarzem inaczej, w jemu właściwy sposób.

Zygmunt Nowakowski (w spisie treści omyłkowo: Zbigniew) występuje w roli Katona, wytykając kolegom po piórze błędy i potknięcia językowe (zwłaszcza — rusycyzmy u Stanisława Mackiewicza), protestując przeciw drukowaniu ludzi splamionych kolaboracją z komunistami (casus Elżbiety Szemplińskiej), wreszcie upominając się w imię prawdy historycznej o własne zasługi dla bytu pisma w okresie paryskim, gdy był jego nominalnym wprawdzie, ale nie bezczynnym redaktorem. Jego listy odznaczają się nutą osobistą, poczuciem bliskości. Pod koniec roku 1948 Nowakowski zwierza się Grydzewskiemu z osobistego przeżycia: „Zakaszałem w jakiś bardzo bolesny sposób, trzymając w jednej ręce karty, w drugiej papierosa. Wpadłem, w jakąś bardzo przyjemną, nicosć. Znalazłem się w innym świecie albo może umarłem. Podnoszę głowę z wysiłkiem, budzę się, poznaję otoczenie i pytam: «Jak długo spałem?» Powiadają mi, że wszystko trwało... sekunde. Że w kaszlu pochylałem się, szukając oparcia dla rąk. Podobno był to widok przerażający. Ale wszystko trwało sekundę! Nie chce mi się wierzyć, że śmierć jest rzeczą tak przyjemną! To było ciekawe i piękne przeżycie. Miarą mej siły było to, że natychmiast zacytowałem z Kochanowskiego: 'Śnie, który uczysz umierać człowieka...'. Nowakowski żył po tym incydencie jeszcze piętnaście lat.

Stanisław Cat-Mackiewicz bez przerwy włóczył się z Grydzewskim o poprawki językowe, jakie redaktor „Wiadomości” chciał wprowadzać do jego tekstów. Był przeciw pedantycznej poprawności językowej, jeśli pozorne niechlujstwo pozwalało mu osiągnąć zamierzony efekt stylistyczny. Nie zgadzał się z bezwzględnym tępieniem słów obcego pochodzenia, argumentując, że słów rdzennie słowiańskich jest w naszym języku mało i że — konsekwentnie — należałoby wykreślić takie wyrazy,

dzione z archiwum „Wiadomości” i sprzedane bibliotece jednego z amerykańskich uniwersytetów”).

Marian Hemar (autor wysłanego redaktorowi zawczasu nagrobka: „Tu leży Grydzewski, Nie martw się o niego, Już jest redaktorem Pisma Świętego”) pisze oczywiście dowcipnie i złośliwie (zwłaszcza o Nowakowskim i Zbyszewskim). On też dba o swoje interesy i o nie naruszalność tekstów. Wiedząc świetnie, kto w „Wiadomościach” poprawia autorom teksty, potrafi napisać: „Kochany Mieczu, błagam Cię zażyj Johimbiny i opierdół zuchwalca, który przepisywał mój artykuł.”

Bardzo ciekawe są listy Józefa Mackiewicza.

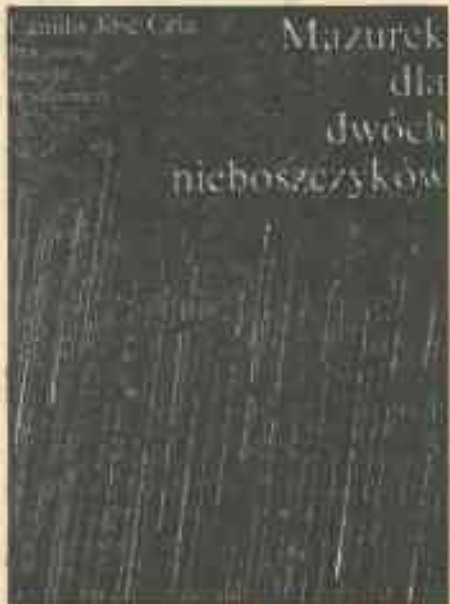


Już w pierwszym znaleźć można wykładnię jego podstawy: „nasze sprawy wewnętrzne są podrzędne w stosunku do nadrzędnej, jaką jest zwalczanie Sowietów.” W liście tym Mackiewicz wyznaje, że zawsze „z dużym uznaniem” odnosił się do proponowanych przez Grydzewskiego zmian w skryptach i zapowiada podobną uległość na przyszłość. W następnym liście wyraża „największy podziw i respekt” dla sposobu prowadzenia pisma i dla niezależności Grydzewskiego. Ale stopniowo zachwyty i podziw przekształcają się w żal i oburzenie. Mackiewicz nie chce się pogodzić z tym, że dla jego konsekwentnej przekory coraz trudniej o miejsce na łamach „Wiadomości”. W ślad za tym idą pretensje o ingerowanie w styl, a także o śmiecznie niskie honoraria, zakończone decyzją o zerwaniu współpracy i dumnych stwierdzeniem: „Sam umiem pisać”.

Józef Wittlin pisze o swoich planach twórczych (ze szczyptą sceptycyzmu), o swoich fobiach („w Warszawie miałem obsesję: wdrzeć się w nocy do starszego [Tadeusza] Zielińskiego i zgolić mu homerową brodę, żeby

## recenzje

CAMILO JOSÉ CELA, *Mazurek dla dwóch nieboszczyków* przełożyła (znakomicie!) Elżbieta Komarnicka



W powieści Celi pełno jest nazwisk, rodzinnych historii, dużo krwi i miłości. W małym hiszpańskim miasteczku, niedaleko granicy z Portugalią popełniono zbrodnię. Fabian Minguelo Puszczyk zabił Baldomero Gamuzo, Chojraka. Świat utracił dawny rytm. Aby go przywrócić, śmierć musi zostać pomszczona. Pewne czynności, mówi jeden z bohaterów powieści, trzeba wykonywać zawsze: chować tych, którzy umarli, wcześniej umywszy im twarz, odmówić za nich ojczyszczanie i pomścić – śmierci nie można zadawać bezkarnie. Wcześniej umarł Lázaro Codesal, zabił go

Maur, gdy ten onanizował się w cieniu figowca. Od tego czasu ciągle pada. Linia gór jest niewidoczna. Deszcz – pisze Cela, to sposób w jaki Bóg bezpośrednio komunikuje się z ludźmi. Każdy człowiek ma swoje słabości, niezależnie od wykonywanej profesji. Księża są u Celi rozpustni, kobiety spragnione cielesnej miłości, mężczyźni silni i sprytni bądź ułomni: ślepi i kulawi. Wszyscy się znają, wszyscy są ze sobą bliżej lub dalej spokrewnieni, z wyjątkiem rodu Carrouposów, „z których każdy ma wykwit świńskiej skóry na czole”. Mimo to każda z postaci posiada jakąś wyjątkową cechę, ma przydomek, sygnał różnicowania w tym pozornie jednolitym świecie. Coś jednak w nim pękło, uległo rozregulowaniu. Prawo gór, prawo natury zostało zachwiane. Toczy się wojna domowa, w której

pamięć, nie mogą być zbawieni, bo Bóg i święci pańscy przywiązują do pamięci wielką wagę”. „Bóg ma dobrą pamięć i dlatego wymyślił piekło”.

Powieść Celi jest właściwie gawędą. Kto ją opowiada? Pewnie Camilo, choć jest ich dwóch: don Camilo i Camilo artylerzysta. Camilo, to także imię Celi. Kto jest partnerem w tej dziwnej rozmowie? Atega, a może Robin Lebozán, który ciągle coś pisze, może notuje tę właśnie historię. Lebozán nie chce pisać dziennika, musiałby wówczas przyznać, że „człowiek jest bestią pospolitą, gruboskórą, okropnie nudną i lubującą się w objawieniach i cudach”. W jego zapiskach pamięć miesza daty wydarzeń, nazwiska osób. Podobnie u Celi, wielokrotnie wracają te same opisy, omawiane postaci pojawiają się na chwilę,

## Deszczowy mazurek

Hiszpanie zabijają Hiszpanów w imię absurdalnych idei. „Hiszpania jest trupem, mówi Raimundo z Casandulfów do Ramony, nie chcę tak myśleć, ale bardzo się boję, że okaże się trupem, nie wiem tylko jak długo potrwa, zanim ją pochowamy, obym się mylił! oby nie była to śmierć, tylko omdlenie, i gdybyż mogła się jeszcze obudzić!”. Kiedy Bóg odwrócił się od człowieka, człowiek sam musi wymierzać sprawiedliwość. Czasami tylko, z gór dochodzi odgłos skrzypiącego wozu, „to dudy Pana Boga, skrzypi po drodze i odstrasza strzygi i dusze czyszczone. Ośka wozu ciągniętego przez woły jest też sercem świata i samotności”. Bohaterowie Celi są bardzo samotni, nękanymi przez ból i cierpienie. Żyją pamięcią o tych, którzy odeszli. Atega, żona Chojraka prowadzi rachunek zmarłych, to księgowia śmierci. Ale nie sama śmierć jest najgorsza. Bolesna jest radość tych, co zostają przy życiu. Najgorsza jest pamięć, z której rodzi się cierpienie ale również otucha. „Ci, którzy utracą

wypowiadają kilka zdań i nikną, by za moment powrócić. Świat się rozpada w rytm muzyki, granej na dudach i akordeonie. Muzyka jest w powieści Celi czymś bardzo ważnym, elementem przywracającym ład. Ślepy Gaudencjo gra pięknie na akordeonie, najczęściej w burdelu w Órense. Tak zarabia na życie. Gdy umiera ktoś ważny, ktoś bliski, gra mazurka „Ma petite Marianne”. Jest rok 1936... Zmarł Rudyard Kipling, piłkarska drużyna Hiszpanii przegrała z Austrią, wybuchła wojna, „wygląda jakby na niebiosach przestała panować harmonia”. Gaudencjo grał swojego mazurka tylko dwa razy, gdy zabito Chojraka i później w 1940, gdy zabito Puszczyka. Ten mazurek, to jak śpiewana msza, ma swój czas, miejsce i cenę. „Akordeon – zwierza się Gaudencjo – jest sentymentalnym instrumentem i cierpi, kiedy mu się robi na przekór, ludzie nie potrafią już niczego uszanować, widać zbliżamy się do końca świata”. Świat kończy się wraz z wybuchem wojny, wraz ze śmiercią

Chojraka. Zemsta to próba zbliżenia ran, konieczna, choć nie zawsze przynosząca ulgę. Życie po wojnie, mówi jedna z postaci toczy się będzie dalej, „ale już nie tak samo, życie nigdy nie toczy się dalej tak samo, a tym bardziej kiedy zahacza o ból”. Wszyscy czekają na śmierć Puszczyka. Potrzebny jest rytualny gest oczyszczenia, który przywróci dawny porządek. Sama wiara nie wystarcza, to tylko narzędzie do otwierania, „korkociąg sumienia”. Niektórzy żyją czasem minionym. Inni próbują odwrócić się plecami do wszystkiego. Osiągnąć stan izolacji, wewnętrznej swobody, co oznacza samotność, której albo się pragnie, szuka, albo się nią płaci. Samotność jest ceną niezależności. W powieści Celi niemal wszyscy są rodziną. Świat dzieli się na swoich i obcych. Obcy są Carrouposowie, obcy jest Puszczyk. W tej rodzinie każdy jest samotny, zdany tylko na siebie. Jedynie coś naprawdę ważnego, jakieś niezwykle wydarzenie, czyjaś śmierć przypomina mieszkańcom Órense o ich pokrewieństwie. Wówczas na chwilę stanowią jedność.

*Mazurek dla dwóch nieboszczyków* ma swój wewnętrzny rytm, oparty na powtórzeniach i właśnie w tym rytmie poznajemy historię opowiedzianą już na pierwszych stronach. Powieść Celi jest właściwie rozwinięciem, wariacją na jeden temat, pełną zaskakujących rozwiązań, niezwykle brzmień. Gawędziarski, ciepły ton opowieści przechodzi w suchy bezlitosny opis oględzin zwłok. Protokół sądowy kończy *Mazurek dla dwóch nieboszczyków*, to jedyny dodatek. Niewiele z niego wynika, jest bardzo dokładny a jednak tak mało mówi o prawdziwej przyczynie śmierci Fabiano Minguelo Puszczyka. „Lázaro Codesal był pierwszym nieboszczykiem w tej prawdziwej historii. Ostatni nieboszczyk jeszcze nie umarł, zawsze jest w tej niekończącej się historii jakiś zaległy nieboszczyk, to jest tak, jakby cały niezmiernie długi łańcuch nieboszczyków poruszany był siłą inercji”. Gaudencjo czeka więc dalej, w deszczu, by zagrać swojego mazurka.

Marek Zagańczyk

## Da Ba La i tak dalej

JANUSZ GŁOWACKI, *Nowy taniec La Ba Da*, Oficyna, Warszawa 1990

O Januszu Głowackim przyzwyczajony człowiek nie ma prawa powiedzieć dobrego słowa. Po pierwsze, niewątpliwie potrafi pisać. Po wtóre odniósł sukces. Nie dość, że w Polsce, to nawet w Ameryce. I nie dość, że artystyczny, to jeszcze finansowy. Trzeba sprawę nazwać jasno – PRZESADZIŁ. Przecież nie ma rzeczy równie nienawistnej humaniście, mówiąc szerzej spadkobiercy najlepszych tradycji, jak pieniądze. Osobiście pieniądze nienawidzę do tego stopnia, że ostatecznie i definitywnie zerwałem z nimi wszelką znajomość. A Głowacki postępuje zgoła odwrotnie. I dlatego czas powiedzieć całą prawdę o Głowackim.

Jego felietony bawiły nas, lecz bawi nas także Benny Hill. Jego opowiadania czytaliśmy z ochotą, ale po latach wyszła z przysłowiowego worka ich mialkość, nicieść i fałsz. Z wydanego świeżo tomu dawnych opowiadań wyzierają nagie miazmaty zdefraudowanej osobowości. Zupełnie niezrozumiały język, jęzor właściwie, beznadziejny, wysiłony dowcip i całkowity brak prawdy. Teraz jasno widzimy, że w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych Głowacki pisał wyłącznie półprawdy, pseudoprawdy i nibyprawdy. Nigdy samej prawdy – jakby się nią brzydził. Ganiają po stronach tej prozy aluzje, niedomówienia i gole baby. Owszem, są też inteligenci lecz przyjrzyjmy się bliżej i szerzej obrazowi naszej klasy w potłuczonym, jarmarczonym lusterku noszonym po kawiarniach przez

literata Głowackiego (lusterku – dodajmy – z kapitanem Klossem na odwrocie). Inteligent taki jest na przykład magistrem, chodzi tu, to tam, szwenda się po ulicach, wszystko jedno warszawskich czy paryskich, pije, pali i nic innego nie robi. Nie nosi ani ramki, ani sita, nie przemycza powielacza – słowem – NIE WALCZY! Gdzie w tamtych czasach spotkać było można polskiego intelektualistę, który nie walczy z komuną? Odpowiedź jest prosta – w Ameryce. I to wyjaśnia wszystko – ten polski pisarz, ciałem i piórem obecny wówczas w kraju – duchem był już w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. I tu trzeba sobie powiedzieć jasno – Nowy Świat to nie Broadway, a Królowa Rzek Polskich to nie Missisipi. I dlatego czas przyszedł wielki i ostateczny, by zadać pytanie – komu to służy. Po co wydajemy takie książki takich pisarzy w Polsce. Czy mamy za wiele papieru? Czy młodzież – nasza przyszłość i nadzieja ma poznawać nieodległą przeszłość własnego kraju z pism tego rodzaju, a teraźniejszość z „Gazety Wyborczej”? Powtórzmy stentorowym (w tym wypadku moim) głosem pytanie – komu to służy i czyj interes za tym stoi?

Wójt

PS. Dochodzą głosy, że Pan Głowacki domaga się od krytyki, by zaczęła traktować go poważnie. W swoim – tuszę wszak, że nie tylko moim imieniu wołam – NIGDY!!!

## noty

STANISŁAW STANUCH, *Modlitwa o Szczęśliwą śmierć*. PIW, Warszawa 1990.

### Dzisiaj puka od spodu

Na obwołanie nowej powieści Stanucha widzimy autora na tle. Po lewicy widoczna jest klawiatura maszyny do pisania, po prawicy butelka neospasminy. Ta fotografia wyjaśnia wszystko – Stanuch swe brednie przelewa na papier, bo dysponuje maszyną do pisania. Następnie narkotyzuje i otumania redaktorów PIWu neospasminą i oni to drukują. Dzisiaj obróciła swe poglądy o sto osiemdziesiąt stopni. Grafomanem jak była tak i została.

Wójt

BOHDAN TOMASZEWSKI, *Pożegnana Defilada*, Iskry, Warszawa 1990.

Wszyscy wiedzą kto to jest Bohdan Tomaszewski – znakomity reporter, tenisista i mecenas młodych sportowców. Mało kto natomiast wie, że był Tomaszewski jednym z nielicznych, którym wiek, godność i imponderabilia nie przeszkodziły brać udziału w demonstracjach „Solidarności”. Czynił to w czasach, gdy było to zabronione. Oczywiście nie rzucał kamieniami. Stał wyprostowany i swym spokojnym (znany wszak wszystkim) głosem „kierował ruchem”. „Proszę państwa, tędy proszę, przeciwnik jest do pokonania”. Trwał tak zdając się do końca, że przyszedł palkarze i Go zwinęli. Wiek, godność i imponderabilia nie pozwalały Mu uciekać przed sikawką. Tę historię przytaczam nie bez powodu – charakteryzuje ona precyzyjnie najistotniejszy rys osobowości Bohdana Tomaszewskiego – zasadniczą jedność formy i treści. Niezapomniany Graucho Marx opisałby to tak – „Tomaszewski zachowuje się jak dżentelmen, mówi jak dżentelmen, pisze jak dżentelmen. Proszę nie dać się zwieść tym pozorom – Tomaszewski jest dżentelmenem”. Autorski wybór felietonów z ostatniego ćwierć-

wiecza, współcześnie opatrzone przez Tomaszewskiego komentarzem ma nie tylko oczywiste znaczenie poznawcze – lektura ma także inny walor. Czytając „Pożegnana Defilada” mamy rzadką okazję spotkania z publicystyką nie skierowaną przeciw nikomu. Opowiada Tomaszewski o pięknie ludzi, życia i sportu. Warto wiedzieć, że na świat można tak patrzeć.

Wójt

SIMON BRETT, *Wstrząs dla systemu*, tłumaczyła Anna Wiśniewska-Walczuk, Czytelnik, Warszawa 1990

Należąca do literatury rozrywkowej powieść Simona Bretta, jest zgoła inną propozycją niż długie serie tak czytanych obecnie MacLeana czy Ludluma. *Wstrząs dla systemu* to kryminał opowiedziany z punktu widzenia mordercy, a zarazem udana powieść realistyczna z życia angielskich klas średnich. Gdyby nie powtórzone kilkakrotnie zbrodnie, śmiało można by postawić tę książkę na półce obok *Życia biurowego*. Waterhouse'a. Nie pogryzłyby się.

Bohater, Graham Marshall, po raz pierwszy morduje przypadkiem, po czym czyni sobie z tego procederu hobby, które nie dość, że przynosi mu prestiż i rozliczne korzyści, ale zapewnia wspaniałe samopoczucie. Cóż, morderstwo doskonałe to też świadectwo genialności, tyle, że w niezbyt powszechnie uprawianej konkurencji. Żeby jednak sprawiedliwości stało się zadość, autor buduje przewrotną intrygę, której efektem jest wpadka Marshalla i potencjalna kara za czyn, którego wcale nie popełnił. „Ślepi bogowie fortuny odwrócili się od niego. Tak długo sprawiali, iż fałsz zdawał się prawdą. A teraz z okrutną przewrotnością uczynili prawdę fałszem”.

Ładne zakończenie i wcale nie banalne. Tak jak jest nie jest banalny typowy inspektor ze Scotland Yardu, który zamiast w pierwszym rozdziale, zostaje wprowadzony dopiero na końcu książki. I wiadomo, że od tej chwili – z dokładnością maszyny do mięsa – rozłoży całą sprawę na czynniki pierwsze i wpakuje naszego bohatera za kratki. Na szczęście nie na tym skupił się Simon Brett, dzięki czemu udało mu się wyprodukować lekturę interesującą zwłaszcza dla panów po czterdziestce, którym młodzi koledzy podstawiają w pracy nogę.

hb



# Utalentowana kobieta

## czyli dowalanie dowalaczom

Z e zdumieniem odczytałem w siódmym numerze Tygodnika Literackiego recenzję filmu *Pretty Woman*, zatytułowaną przewrotnie „Brzydka kobieta”. Ton lekkiego felietonu, przy pomocy którego publicyści Tygodnika uwielbiają robić burzę w szklance wody, powoli staje się pastiszem stylu „Literackich ekscesów” Barańczaka, który, jak należy przypuszczać, jest mistrzem tej szkoły. Zjadliwość, lekkość i dowcip są u autora „Wymiotów Woltera” ciężką bronią, przy pomocy której walczy on z prawdziwymi wrogami, w momencie jednak kiedy metoda zostaje zastosowana w nie tak doskonały sposób i wobec nie przystających do niej zupełnie obiektów, cała rzecz robi się dziwnie niesmaczna i idiotyczna. Odnoszę tę opinię do wielu dowcipnych artykułów, w siódmym numerze chociażby „Kresu zmywu milczenia”, ro-

biącego wysiłki w celu schlastania Szczypiorskiego – przykładu pseudoanalitycznego pamfletu w którym brak sformułowania podstawowych zarzutów. Apogee jednak stanowi w tym względzie „Brzydka kobieta”, gdzie autor, ukryty za inicjałami jako demaskator fałszu i zdzieracz masek „tępiący bezczelność z całą surowością”, atakuje... bajkę o Kopciuszku. Pomijam fakt, że napisanie całkiem długiej recenzji filmowej na podstawie jednej tylko myśli, a mianowicie stwierdzenia, że twarz bohaterki recenzentowi się nie podoba, aczkolwiek figura owszem, jest wycyzymem niezwykle bezczelnym. Nasz prześmiewca ustosunkowuje się poza tym do fenomenu amerykańskiego kina komercyjnego, wobec którego usiłuje przyjąć rolę uczonego w piśmie. Dzieli on komercyjne filmy na „apetyczne fabularnie” oraz na wywołują-

ce „emocje – strach, obrzydzenie, podniecenie”. Trzecią kategorią jest „Pretty Woman” – film, który z braku wymienionych przymiotów wywołał w nim nudę. Recenzja ta jest przykładem zagalopowania się dowcipnego bojownika o wartości, który uniesiony lekkawością swego pióra, przeoczył zupełnie zasadniczą kwestię omawianego przez siebie tematu. Proponuje on przyznanie łagowskiego Zgnilego Grona „amerykańskiemu społeczeństwu” które ośmieliło się uczynić film nie podobający się recenzentowi najbardziej kasowym obrazem roku 1990. Nasuwające się tu pytanie „dlaczego się podoba?” nie pada bynajmniej – belkocik płynie dalej swymi meandrami.

Odpowiedź jest prosta – film się podoba, bo wbrew sugestiom M.W., nie pretenduje wcale do miana arcydzieła i nie ma nic wspólnego ze wspomnianym przez niego „przejęciem”. Podoba się, bo fabuła jest odwieczny schemat a gwiazda – Julia Roberts odstaje od tłumu hollywoodzkich ślicznotek nie tylko nietypowością swej twarzy ale również faktem, że nieoczekiwanie posiada talent aktorski. Niestety pamflecista nasz, przyszedłszy do kina w celu oddania się uwodzicielskiej komercyjnej „nicości”, tak bardzo się na film obraził, że zupełnie przeoczył tę istotną, zdawałoby się, sprawę.

Ogólniejsza refleksja nad „Pretty Woman” powinna dotyczyć raczej uniwersalności gatunku melodramatu niż tego czy Julia Roberts jest czy nie jest „pretty”. M.W. obrażony na film, jawi się jako zdemoralizowany dzieciak, który ogłu-

piony komiksami, Batmanem i egzystencjalnymi głębiami erotyki w wydaniu Miśka Rurki, bierze do ręki egzemplarz bajki o Kopciuszku z ilustracjami J.M. Szancera po to, aby rzucić go za chwilę w ką i skwitować słowem „chała”. Niestety przyznając się do postawy masowego odbiorcy wymaga pewnej odwagi. Autor recenzji z wyżyn krytyki sztuki roztrząsający „nicość” nieambitnego kina i stawiający mu z góry określone cele, traci nawet tę otwartość, którą posiada „szary”, nieuprzedzony widz. Postawa krytyczna M.W. zdaje się być zupełnym nieporozumieniem.

Demaskowanie fałszu czy walka z bezczelnością powinna raczej toczyć się tam, gdzie fałsz i bezczelność rzeczywiście istnieją. Gwałtowne zamachnięcie się M.W. na najniewinniejszy pod słońcem, uroczy i głupkawy film wywołało, jak powiadam moje zdumienie. Zamachnięcie to jest wyrazem ogólniejszej tendencji – owego smutnego postbarańczakizmu, gdzie najlepsze tradycje cietej publicystyki realizowane przez autora „Książek najgorszych” znalazły swą karykaturę u twórców „dowalających” ordynarnie i na oślep. Felietonowa lekkość jest rzeczą niezmiernie trudną do osiągnięcia, tak samo jak niedbała elegancja, której epigoni najczęściej osuwają się w niechlujstwo. Czekam na artykuł, w którym rozochocony polonista rozprawi się z Miłozem, a dzieło swe zatytułuje np. „Mądry Czesio”. W kąciu filmowym będziemy demaskować bezczelność Kaczora Donalda. Z całą surowością.

Kazimiera Szczuka

D wieście lat temu, 5 grudnia 1791 roku umierał po dziesięcioletnim pobycie w Wiedniu trzydziestoletni Mozart. Doktor Thomas Franz Closset, osobisty lekarz kanclerza księcia Kauniza, zatrudniony również na dworze cesarskim, oraz konsultujący lekarz dr Mathias Edler von Sallaba, późniejszy prymariusz w założonym wówczas i istniejącym do dziś jako zespół klinik uniwersyteckich wiedeńskim szpitalu Allgemeiner Krankenhaus, stwierdzili „reumatyczną gorączkę zapalną”. Wolfgang Amadeus chorował 15 dni, opuchlinie rąk i nóg towarzyszyły wymioty. Choroba musiała być śmiertelna przede wszystkim ze względu na obowiązujące wówczas metody leczenia, a to: upuszczanie krwi (7 razy, i w sumie więcej niż dwa litry) i środki wymiotne, oraz poprzedzający ją styl życia, w którym „aktywność duchowa była możliwa tylko kosztem cielesnej”. W tej sytuacji Mozart nie miał szansy, a pogłoski o domniemanym otruciu zostały uznane za nieuzasadnione. Wolfganga Amadeusa pochowano na przedmieściach Wiednia w zbiorowym grobie.

Fakt ten nie ma szczególnego znaczenia, bo był to przecież czas reform syna Marii Teresy, Józefa II, okres Józefinizmu, austriackiego Oświecenia, a Józef II jak wiadomo, starał się ograniczyć wpływy i majątek Kościoła katolickiego oraz podporządkować go państwu. Stąd również dekret z 1784 roku, dotyczący pogrzebów, które według nowych przepisów miały być skromne, tak skromne, że trumnę należało zastępować zwykłym workiem. Dekret o „pogrzebie w worku” („Sackbergräbnis”) musiał co prawda po pięciu miesiącach zostać cofnięty, ale pytanie o formę pochówku genialnego kompozytora pozostaje mimo to nie tylko nie rozstrzygnięte, ale i wstydlive. Bo nawet i skromność pogrzebowa miała swój podział klasowy, a dla Mozarta zamówiono pogrzeb „klasy trzeciej”, za osiem guldenów i 55 grajcarów, co nie miało zresztą podobno wcale świadczyć iż był to pogrzeb dla najuboższych.

Wyjątkowego natomiast pietyzmu w stosunku do zmarłego miało dowodzić wysłanie go w ostatnią podróż z kościoła świętego Stefana w centrum Wiednia, do „miejsca grzebalnych” za miastem, na cmentarz St. Marx, nie furą wraz z innymi zwłokami, lecz dodatkowo wynajętym wehikułem pogrzebowym. Nigdy też nie udało się znaleźć grobu, w którym pochowano Mozarta. Nieludzkie przepisy tamtych czasów zezwalały na ponowne grzebanie zmarłych na tym samym miejscu już po dziesięciu latach. A że „nie było zwyczajem” towarzyszenia zmarłym na miejsce ich wiecznego spoczynku, często parę kilometrów za miasto i (też według przepisów) o zmrzoku, więc i świadków brakło.

Po dwustu latach, nie po raz pierwszy przecież, powrócił Mozart do Wiednia. Wiedeńscy Filharmonicy otworzyli 13 stycznia koncertem w Musikverein Rok Mozartowski. Miasto, w którym Mozart spędził ostatnich dziesięć lat życia, skomponował swe najświetniejsze

dzieła i umarł w nędzy, oprócz licznych koncertów uczciło go wystawą *Zaubertöne – Mozart in Wien* (*Czarowne dźwięki – Mozart w Wiedniu*). Wystawa została zorganizowana z rozmachem przez Historyczne Muzeum Miasta Wiednia w Künstlerhaus na placu Karola (otwarta 6 XII 1990, będzie trwała do 15 IX 1991) i należy do jednych z tych wielkich wystaw, które w latach ubiegłych przyniosły rozgłos Wiedniowi. Były to m. in.: wystawa upamiętniająca oblężenie Wiednia przez Turków w 1683 i odsiecz wiedeńską, ubiegłoroczny *Biedermeier* i najświetniejsza z nich, *Traum und Wirklichkeit* (*Marzenie i rzeczywistość – Wiedeń około roku 1900*), która w 1985 objechała świat; ustawiając m. in. nieskorych do takich poświęceń Francuzów w Centrum Pompidou w Paryżu w wielogodzinne kolejki.

## Zaubertöne

Przyciągała ludzi jak magnes, w samym tylko Wiedniu goszcząc dziennie 3000 – 3500 zwiedzających. Liczba zawrotna, stawiająca pod znakiem zapytania sens zwiedzania w takim tłumie i zagrażająca dziełom sztuki, przede wszystkim wystawionym obrazom, ze względu na zbyt wysoką wilgotność powietrza. Wielu prywatnych właścicieli zbiorów zabierało wówczas w popłochu swe obrazy. Takiego sukcesu się nie spodziewano.

Co prawda już było wiadomo, że Wiedeń przedłomu wieków w latach osiemdziesiątych został przez świat odkryty na nowo, że stał się modny, ale faktu tego nie uzmysłowiono sobie tu jeszcze tak naprawdę, w myśl zasady, że najciemniej jest pod latarnią. Jeszcze w przeddzień otwarcia (*Traum und Wirklichkeit*) zrzedzono w Wiedniu, że słynny tutejszy architekt, Hans Hollein, odpowiedzialny za kształt wystawy, nie ma żadnego konceptu i nie wiadomo za co bierze „ciężkie miliony”, że społeczne pieniądze wyrzuca się w błoto. Potem uciszono się oczywiście i próbowano wyjaśnić zjawisko, które, jak każdy fenomen sztuki, było nie do zdefiniowania. Temat, obejmujący Wiedeń w latach 1870–1930, Wiedeń Ludwika Wirtgensteina, Zygmunta Freuda, Gustawa Klimta, Alfreda Kubina, Eгона Schielego, Ottona Wagnera, Gustawa Mahlera, Karla Krausa, Arthura Schnitzlera, Petera Altenberga, Roberta Musila, Hugona von Hofmannstahl, Maxa Reinhardta, żeby wymienić niektóre tylko ze znanych nazwisk, temat obejmujący Wiedeńską Secesję i dekadentcki Młody Wiedeń, był rzecz prosta sam w sobie przyciągający. Nie mniej istotne okazało się jednak pozostawienie przez Holleina przedmiotów w pozornie chaotycznym związku wzajemnego oddziaływania, który, nie niszczonej zimną kalkulacją precyzyjnego konceptu, wytworzył

swoiste pole magnetyczne, z niezwykle silną przyciągającą tysiące ludzi. Wystawa zaczęła żyć własnym życiem. Sukces *Marzenia i rzeczywistości* już się więcej nie powtórzył.

W obecną wystawę, która swój tytuł zawdzięcza słowom Szuberta: „Jakby z oddali dobiegają mnie jeszcze czarowne dźwięki muzyki Mozarta”, włożono trzy lata pracy, starań i 78 milionów szylingów. Sprowadzono eksponaty z całej niemal Europy i ze Stanów Zjednoczonych, zatrudniono, jak zwykle, rzesze naukowców, przy pomocy Philipsa Classics, który właśnie wypuszczał pełną edycję dzieł Mozarta na płytach kompaktowych, nadano wystawie oprawę muzyczną. Muzyka Mozarta towarzyszy zwiedzającym przez cały czas, w 18 częściach trwających po 10-20 min, z wyjątkiem niedziel, kiedy odbywają się tu, przy nie zmienionych cenach wstępu, prawdziwe koncerty. Trójka wybitnych włoskich architektów nadała wystawie formę zewnętrzną. Kierująca zespołem architektka Gae Aulenti przedstawiła projekt klarowny, przemyślany w szczegółach, profesjonalny. Architektura, biała i abstrakcyjna, określana tylko eksponatami i muzyką, ma znosić realność wnętrza i stwarzać poczucie ponadczasowej dymensjonalności, niepokalanego przybytku kontynuacji, świadomie znaczonego piętnem rytmu i powtórzeń. Wystawa rozwija się prowadząc zwiedzającego wąskim labiryntem trzema płaszczyznami, wzdłuż specjalnie wzniesionych białych bocznych ścian, przechodzących nagle w ślepy zaułek, wzdłuż drogi wyznaczonej przez portrety, eksponaty w podświetlonych witrynach: rękopisy listów Mozarta i jego autografy muzyczne, dokumenty, przeróżne akcesoria związane z epoką, od podręcznych przedmiotów toaletowych po rekwizyty wolnomularskie. Na ścianach cytaty z listów. Wiedeńskie lata Mozarta, ujęte w ściśle chronologicznym porządku, stają się „społeczna biografią epoki” w trzech przeplatających się wątkach: biograficznym, muzycznym z dźwiękowymi cytatami z kompozycji oraz codziennym i kulturowo-historycznym.

Trudno się jednak spodziewać, aby ta naprawdę dobra wystawa, znakomicie zrobiona i godna obejrzenia choćby ze względu na zgromadzone tam skarby kultury, odniosła sukces w jakimkolwiek nawet stopniu porównywalny z triumfem wystawy o Wiedniu fin de siècle'u. Już dzisiaj mówi się, że jeśli nic się nie zmieni, to przy przeciętnej liczbie 600–640 osób zwiedzających dziennie, co stanowi 1/5 frekwencji *Marzenia i rzeczywistości*, straty będą ogromne. Ambicją organizatorów było „uwodzić, zaciekać, niepokoić i podniecać wyobraźnię zwiedzających”. Zamiast tego przewrotność losu ujawnia zimno, dystans i surową logikę realizacji, którą można podziwiać, ale która odpycha, nie wzrusza. Natychmiast to zauważono, w tym przedziwnym naprawdę mieście. Nie ma Mozart szczęścia w Wiedniu.

Anna Milanowska

Jan Jeżewski

# Telewizja: Nowy początek...?

O bjęcie Radiokomiteu przez Mariana Terleckiego nikogo nie zaskoczyło. Już wcześniej obecny prezes miał monopol na pokazywanie Wałęsy w telewizji, na co godziło się – tak bardzo miłujące obiektywizm – ówczesne kierownictwo „Wiadomości”. Terlecki był wtedy szefem lokalnego ośrodka TV. Tyle, że „lokalny” w jego przypadku znaczyło – „gdański”. I, jak mówi się dziś w Warszawie, to tłumaczy wszystko. Warto jednak może także przypomnieć, że Terlecki dał się poznać – w realizowanych wcześniej reportażach – jako piewca życia klasztornego i Kościoła, co niewątpliwie dało mu dodatkowe punkty. Zwycięstwo wyborcze Wałęsy musiało w konsekwencji doprowadzić do rozszerzenia zakresu działań jego protegowanego. Dyrektowanie w ośrodku gdańskim w sposób naturalny przekształciło się w przesunięcie na Woronicza. Nominacja ta – jak się powszechnie oczekuje – powinna przynieść wielkie zmiany.

Ale modne ostatnio doszukiwanie się w Terleckim nowego Macieja Szczepańskiego jest nie do końca trafne. Mecenat Wałęsy ma bowiem swoje wyraźne ograniczenia. Zgodnie z obowiązującym prawem pieniądze przydziela telewizji nie prezydent, a Sejm. Terlecki dostał się przez to pomiędzy siły skazane na konflikt – w którym sam także będzie musiał wziąć udział.

Z jednej strony ma kontraktowy, postkomunistyczny, okrągłostołowy parlament, wciąż niezdolny do spłodzenia sen-

sownej ustawy o radiu i telewizji, z drugiej – Belweder zamieszkały przez lokatora znanego ze swej impulsywności i kapryśności. Na domiar złego w sejmowej Komisji Kultury zasiada poseł Łapicki – zwolennik Mazowieckiego... Trzeba będzie zręcznie lawirować, by przetrwać. Ale ta sytuacja ma także i dobre strony. Stwarza – w perspektywie – możliwość prowadzenia gry wobec centrów dyspozycyjnych i poprzez to – szansę na uzyskanie pewnej niezależności.

Wejście na Woronicza odbyło się bardzo efektywnie. Nowy prezes z marszu uderzył w audycje informacyjne, przede wszystkim „Wiadomości”. Oczywiście spodziewano się tego. Szef „Wiadomości” wielokrotnie naraził się nowej władzy – bo za bardzo lubił starą – i musiał ustąpić.

Zamiana Jacka Snopkiewicza na Lecha Dymarskiego ma zagwarantować – według oficjalnie głoszonej teorii – zwiększenie informacyjnego pluralizmu. Odbyła się w atmosferze skandalu i trzaskania drzwiami. Towarzyszące jej efektowne odejście znanej dziennikarki Aleksandry Jakubowskiej oraz niepożądane, małostkowe szykany wobec niej, konflikt z PAPem – wszystko to wywarło na opinii publicznej spore wrażenie. Na Woronicza odczytane zostało jako sygnał ostrzegawczy. Rozpieszczęni tolerancję Drowicza starzy pracownicy telewizji zrozumieli, że reforma, jak mówią jedni – albo czystka, jak chcą inni – rzeczywiście

nie nastąpi. Oraz, że dokonana będzie bez rękawiczek. W sposób – gdy zajdzie taka potrzeba – brutalny. Ale jaka będzie – na razie nie wiadomo. Plan dopiero się krystalizuje.

Słychać już jednak oskarżenia o to, że nie chodzi tu o żadną reformę. Po prostu nowe kierownictwo zastąpiło w „Wiadomościach” stare, po to tylko, żeby wywrzeć wpływ na propagandę. Obrócić ją w kierunku pożądanym przez mecenas – Wałęsę. Co gorsze, istnieją niestety fakty, zdające się potwierdzać tę tezę. Przykład najjaskrawszy – to manipulacja informacyjna, którą zastosowano 14 lutego.

Główne wydanie „Wiadomości” nie wspomniało o tym, że dwa tysiące górników obległo prezydenta w jego siedzibie i zmusiło do niezbyt przyjemnej rozmowy na dziedzińcu Belwederu. Nie obyło się bez gwizdów i obelg, a zdenerwowany, przyciśnięty do muru Wałęsa obiecał, że niebawem pojedzie na Śląsk, by na miejscu zapoznać się z sytuacją.

Informację o tym podało jedynie popołudniowe wydanie „Wiadomości”, jego widownia jest bardzo mała. Czyżby starcie prezydenta z górnikami nie było ważnym faktem politycznym, godnym prezentacji o 19.30?.. Trudno się oprzeć wrażeniu, że chodziło tu o zabieg cenzorski w imię – fałszywie pojętego – interesu Wałęsy. Ludzie i tak się dowiedzieli – jednocześnie zauważając manipulację.

Domyślam się, że nastąpiło to po takim

mniej więcej rozumowaniu: pokazanie w czasie największej oglądalności prezydenta w opalach nie leży w jego interesie. Szczególnie, że widok górników, agresywnie zachowujących się na dziedzińcu Belwederu mógłby komuś skojarzyć się z «Przedwiośniem»... Stać się niejako instruktą, zachętą dla innych niezadowolonych. A to byłoby fatalne. Dla wszystkich. Dodatkowo jeszcze wiemy, iż cała rzecz zorganizował OPZZ, więc jest z gruntu podejrzana i niesłuszna. W sumie – lepiej nie ryzykować i sprawę zatuzować.

Jestem pewny, że do takich rozważań w redakcji „Wiadomości” doszło, nie wiem tylko, czy ostateczna decyzja zapadła tam, czy też pomógł tu jakiś telefon „z góry”. Tak czy inaczej – była to gruba niezręczność.

Dla kontrastu – wydarzenia pod Belwederem w całej ich krasie przedstawił „Obserwator”: ekspresyjny materiał filmowy został tu dodatkowo podbudowany odpowiednim komentarzem.

Nie przez przypadek właśnie wokół tego programu toczą się teraz najostre spory. Redaktorzy „Obserwatora” mają na sumieniu wiele grzechów. Słusznie ich oskarżano o nadmiar ciepłych uczuć w stosunku do byłego premiera i jego obozu politycznego, nieporadność warsztatową graniczącą z nieudolnością, wreszcie – przekonanie o własnej doskonałości. Niemniej to, co było wadą na początku istnienia programu, za czasów Mazowieckiego, teraz – paradoksalnie – staje się jego atutem. Na skutek zmiany ekipy rządzącej „Obserwator” przeszedł do opozycji – a opozycyjność zawsze jest u nas w modzie. Brak fachowości można na upartej potraktować jako nową, świeżą formułę. A samozadowolenie?... Widać są brzo pewni swej racji.

I tak początkowo prorządowa, niezbyt udana audycja informacyjna, stworzona

Barbara Labuda (sejmowa Komisja Kultury i Środków Przekazu)

Zacząły docierać do nas wieści coraz bardziej niepokojące. Zamiast zmian strukturalnych, merytorycznych, zaczęły raptem znikać programy, audycje i ludzie, bardzo dobrzy dziennikarze. Rozmawialiśmy z kierownictwem PRiTV prosiłszy o wyjaśnienie tego, co się dzieje. Te odpowiedzi, które uzyskaliśmy zupełnie nas nie zadowalały, ponieważ z reguły nie dotyczyły sedna sporu. I niestety zaczęły się nasuwać podejrzenia, że chodzi o wyeliminowanie tych audycji i tych osób, które gwarantują niezależność poglądów i neutralność polityczną, bo na przykład w momencie, gdy znikają audycje, zwłaszcza radiowe, prowadzone na żywo, natychmiast pojawia się przypuszczenie, że chodzi o przygotowanie audycji wcześniej, mówiąc inaczej o kontrolę tego, co się w radio mówi.

Maria Józefa Hennełowa (sejmowa Komisja Kultury i Środków Przekazu)

Myślę, że niejako pechem nowego kierownictwa jest fakt, że ono, przy swojej odpowiedzialności za opanowanie sytuacji organizacyjnej, finansowej i wszelkiej innej, zbyt łatwo odbierane jest jako to, które dopuszcza się zamachu na etykę dziennikarską, pewną integralność dorobku, która przedtem istniała, czy nawet ambicje, które też się niesłychanie liczą w zawodach twórczych.

Inna konfliktowa sytuacja w Radiokomitecie to casus „Muzyki i Aktualności”. W tej sprawie i innych wypowiedział się wielokrotnie w komisji prezes Owiński. Jako przyczynę swoich likwidatorskich posunięć w radiu podawał spadek odbioru. Natomiast na nasze pytanie, dlaczego doszło do tego samego przy nowej audycji, właściwie zostaliśmy bez odpowiedzi.

Dobrochna Kędzińska (z-ca przewodniczącego sejmowej Komisji Kultury i Środków Przekazu)

– Żeby omówić i ustosunkować się do ostatnich drastycznych wydarzeń w Radiokomitecie sejmowa Komisja Kultury i Środków Przekazu zebrała się w czwartek, 14 bm. To posiedzenie musiało zostać przerwane z racji późnej pory, z racji formy, w jakiej przemówił do posłów subtelny poeta z Poznania, a jednocześnie dyrektor DPI TVP, pan Lech Dymarski. To był po prostu skandal. Eskalacja

konfliktów w Radiokomitecie nie pozwala sejmowej Komisji Kultury przechodzić obok nich obojętnie. Dlatego zwołaliśmy posiedzenie następnego dnia. W efekcie powstał list do premiera: Sejmowa Komisja Kultury i Środków Przekazu po zapoznaniu się z sytuacją w PR i TVP oraz po wysłuchaniu informacji prezesów do spraw radia i telewizji Marka Markiewicza i Jana Owińskiego wyraża najwyższe zaniepokojenie stanem i przebiegiem coraz liczniejszych konfliktów pojawiających się ostatnio zarówno w centralnym ośrodku programowym, jak i ośrodkach regionalnych (...) Komisja wyraża opinię, że likwidacja audycji: „Obserwator”, „Komentarze Dnia”, „Muzyka i Aktualności”, „Liczyć na mnie”,

## „OBSERWATOR” i inni

„Otwarty mikrofon”, a także innych programów zubaża polskie życie umysłowe i narusza zasadę pluralizmu.”

Jan Juliusz Braun (sejmowa Komisja Kultury i Środków Przekazu)

To, co przyniosły ostatnie tygodnie pozwala mi zakładać złą wolę kierownictwa Radiokomiteu. Wygląda na to, że ten niewielki zakres pluralizmu, jaki do tej pory zdołano w radiu i telewizji wypracować został jeszcze zawężony. Może nie intencje, ale objawy są takie, że obóz zwycięski rozlicza się z obozem Mazowieckiego. I dochodzi do sytuacji, w której ludzie od dawna pod względem etycznym nie do zaakceptowania, chociaż nieraz do fachowcy, niestety znowu nie mając żadnych etycznych zahamowań są w pierwszej linii kolejnej reformy. Nie chciałbym posługiwać się tu nazwiskami, ponieważ po prostu mógłbym zapomnieć o którymś istotnym.

### „Obserwator”

– Strajkujemy. „Obserwator” powołany został przez poprzednie kierownictwo TVP jako pierwszy dziennik niezależny, to znaczy pozostający poza strukturą Dyrekcji Programów Informacyjnych – było to elementem naszej formuły i stanowiło o wiarygodności programu. Dlatego decyzja o włączeniu nas do DPI, przedstawiona 15 bm. była dla nas zupełnie nie do przyjęcia. Mówiono o auto-

nomii w telewizji, o swoistych programowych okienkach, tymczasem postawiono nam zarzut, że jesteśmy enklawą. Ogłosiliśmy w „Obserwatorze”, że decyzji tej się nie podporządkujemy. Następnego dnia otrzymaliśmy przekaz z nagraniem wypowiedzi Prezesa Marka Markiewicza, w której pouczał zespół, że jest on elementem telewizji państwowej i zarzucał mu niesubordynację. Redaktor naczelny „O” – Damian Kalbarczyk – odpowiedział na to, że formuła niezależności jest wpisana w rację istnienia „Obserwatora”. W poniedziałek, w trakcie prac nad kolejnym wydaniem dowiedzieliśmy się, że tego wydania już nie będzie. Decyzję uzasadniano, że anteny użyto dla celów wewnątrztelewizyjnych, z pominięciem

drogi służbowej. Decyzja dotyczy całego zespołu, ponieważ poparł on Damiana Kalbarczyka. Szef DPI natomiast oznajmił nam oświadczenie o zawieszeniu „O”, a pod koniec rozmowy już o jego likwidacji, co świadczy o zupełnym rozchwianiu pojęciowym. Zaproponowałem nam również pracę w innych programach informacyjnych: „Teleexpress”, „Panoramie Dnia”, czy w „Wiadomościach”. I tutaj ujawniła się zasadnicza niekonsekwencja w argumentacji kierownictwa. Jak bowiem tłumaczyć propozycję wsparcia „rozsympujących się” (cyt. za L. Dymarskim) „Wiadomości” doświadczeniem, energią i pomysłami zespołu wobec jednocześnie nagłaśnianych zarzutów niefachowości tych samych ludzi. I na tym jeszcze nie koniec. Próbowano przekonać nas do takiego rozwiązania, w którym zespołowi na czas nieokreślony powierzone by „O”. Innym pretekstem do zlikwidowania „O”, wprawdzie głośno nieartykułowanym, były nasze materiały filmowe. I tutaj chcemy wyraźnie podkreślić, że informacja o pobycie górników w Belwederze była czysto reporterską relacją z wydarzenia, które miało miejsce. Nie było to umieszczone w żadnym kontekście, nie zostało opatrzone żadnym komentarzem, i dodajmy, akcji nie organizował ROAD. Drugi materiał stanowiła korespondencja z ośrodka gdańskiego TVP – wywiad z autorem książki o Lechu Wałęsie, Jarosławem Kurskim. Wywiad

ten podany został w „Wiadomościach” w formie szczątkowej pomimo to, że był niewątpliwym telewizyjnym hitem.

W środę po południu odbyły się kolejne rozmowy pomiędzy prezesem Markiem Markiewiczem i grupą negocjacyjną „O”. Zarysował się wówczas wariant, według którego mielibyśmy być podporządkowani już nie DPI tylko kierownictwu programu drugiego. W rozmowie nastąpiła przerwa techniczna, po której pojawiła się nowa postać: Barbara Trzeciak-Pietkiewicz. Okazało się, że wcześniejsze ustalenia biorące pod uwagę możliwość przywrócenia „O” nie mają już racji bytu, ponieważ dyrektor drugiej anteny przyszła z koncepcją magazynu „Kraj”, który zastąpiłby „Obserwatora”. Zaproponowano zespołowi etaty w tym programie. Niestety nie mieliśmy pewności, czy aby nie jest tylko tworem wyobraźni. Propozycja udziału w tym mitycznym, enigmatycznym magazynie może przypominać propozycję jaką złożono Janinie Jankowskiej eliminując ją z kierownictwa PR i PR. Były tutaj wprawdzie oświadczenia kierownictwa radiokomiteu, że jest to stanowisko równorzędne czy nawet wyższe, niż poprzednie, ale chyba trudno tego typu oświadczenia brać poważnie. Nam się wypomina okres szkolenia, czyli to, że włożono w nas pieniądze, co wydaje nam się niemądre, bo przecież po raz pierwszy telewizja dopuściła do pracy ludzi młodych, wykształconych w swoich zawodach, dziennikarzy, reżyserów, aczkolwiek bez doświadczenia telewizyjnego, w efekcie czego powstał zespół – coś co w świecie zachodnim ma wartość najwyższą. I ta sama telewizja, zupełnie nieoczekiwanie, lekką ręką z tego rezygnuje – nie jest to chyba normalne. Tym bardziej, że również kwestie finansowe były wysuwane jako argument w tym sporze. Była to też próba, jak sądzimy, skłócenia nas z innymi zespołami, chociaż stosunki między nami układały się bardzo poprawnie. „Teleexpress”, na przykład, pomagał nam bardzo od samego początku.

Chcemy negocjować, aczkolwiek pozostajemy przy strajku. Ważne jest, że mamy silne poparcie z zewnątrz.

Ina Boruszewska,  
Romasz Drozdowicz,  
Łukasz Perzyna (dziennikarze)

24 02 91

dokończenie na s. 15



# Cisza przed nudą

Zachciało się nam żyć w ciekawych czasach, no i mamy za swoje. Nudniej już, jak się zdaje, być nie może. W ocenie peerelowskiego konformizmu i głupoty każdy mądrzejszy gest bądź szlachetny czyn odbijał się tysiącokrotnym echem. Natomiast dzisiaj, pośród zalewu jak najlepszych intencji, głupota, niekompetencja bądź prywatnie rozplywają się niedostrzegalnie, maskowane lub otoczone podobnego stopnia niekompetencją. Jedno się nie zmieniło: socjalistyczny koncert życzeń. Wszyscy pracownicy chcą pensji równej średniej krajowej, wszyscy politycy władzy w swoje ręce, a artyści – niepomi losu ucha van Gogha – komercyjnego sukcesu i artystycznego uznania zarazem.

Wzrasta ilość protestów społecznych i finansowych żądań. Rząd wraz z prezydium Sejmu dyskutuje nad tym, jakie ustawy należy uchwalić w pierwszej kolejności zanim nastąpi oczekiwane powszechnie samorozwiązanie tego ostatniego. Tymczasem wygląda na to, że trzeba będzie przede wszystkim uchwalić ustawę dającą specjalne uprawnienia rządowi, z za pomocą których mógłby on wymusić cierpliwość z jaką społeczeństwo ma nadal znosić skutki kryzysu gospodarczego. Jest tylko jedna, choć dramatyczna rada dla obecnych władz Rzeczypospolitej – żadnych ustępstw! A to oznacza między innymi, że policja wróci na ulice, gdyż raz po raz wylewać się będą na nie tłumy niezadowolonych i zdesperowanych ludzi. W takiej najprawdopodobniej atmosferze, o ile Balcerowicz z Bieleckim wytrzymają i nie podadzą się do dymisji, rozpocznie się kampania wyborcza do Sejmu. Do domów wyborców, przez radio i telewizję weisnąć się będą demagogiczni mówcy, na murach miast, w całej Polsce, jak w ogromnej aptece, pojawią się cudowne recepty z charyzmatycznymi podobiznami przysłych zbawców ojczyzny, w zakładach wciąż będą wybuchać strajki, znów będziemy wszystko szybciej zmieniać i zdążyć w tę właściwszą stronę.

Głównym wrogiem uczestników kolejnej fazy walki politycznej o rząd dusz będzie rosnąca niewiara w możliwość

szybkich zmian na lepsze i nieufność dla nawet najpiękniej i najlogiczniej brzmiących obietnic. Tym razem sukces odniosą raczej ci, którzy będą z zimną bezwzględnością przypominać, że nie może być mowy o boskiej interwencji w polskie sprawy, którzy potrafią spopularyzować przekonanie, że pracownicy protestujący przeciwko narzędziom antyinflacyjnym w rodzaju popiwku będą się musieli w zamian pocieszyć co najwyżej... zasiłkiem dla bezrobotnych.

Starzy i nowi bohaterowie naszej sceny politycznej spotkają się nań już niedługo. Ponieważ brak silnych partii politycznych jest oczywistością a zaplecze partii dziś istniejących niejasne i nie do policzenia, w znacznej części o powodzeniu poszczególnych sił politycznych decydować będą (podobnie jak dotąd) indywidualności je reprezentujące. Wnioskując dalej, decydować o zwycięstwie wyborczym będzie więc telewizja i telegeniczni politycy. Tak więc przed nielicznymi sprawnymi kamerami naszej telewizji zapowiada się solidny tłok i spore przepychanki. Ponieważ o ewentualnych nowych aktorach występujących w czekającej nas kampanii wyborczej niczego teraz powiedzieć nie możemy, przyjrzyjmy się tym, którzy już nie raz zakłócili nam nasz domowy spokój i przerwali wieczorny posiłek. Czy wśród postaci dziś już popularnych a przynajmniej powszechnie znanych są przyszłe telewizyjne gwiazdy? Kto przyciągał dotąd, a kto odstręczał od siebie potencjalnych wyborców?

Najgorzej w telewizji wypadali najwaleczniejsi w rodzaju mecenasa Siły-Nowickiego i przywódcy KPNu Leszka Moczulskiego. Pierwszy przypominał pobłażliwie traktowanego przez całą rodzinę wujka, który na każdych imieninach opowiada jakieś odległe dla młodych, a zbyt znane dla pozostałych historie o bohaterach, cierpieniach, ranach i zsyłkach. Zadręczanie ludzi wspomnieniami i to nie najweselszymi wtedy, gdy pragną oni jak najszybciej wy dostać się ze starego świata, jest nie tylko niezręcznością. Z kolei Leszek Moczulski, którego wadą, z punktu widzenia masowych środków przeka-

zu, jest zgrzytliwy głos, upierał się aby używać języka lat pięćdziesiątych. Z jego wypowiedzi wynikało, że dopiero co utworzono cele na Rakowieckiej i oto stoi przed nami jeden z męczenników i żąda rozliczeń. Tymczasem ludzie interesują się wyłącznie ekonomią i jeżeli żądają rozliczenia ludzi przeszłości, to raczej rozliczenia z zysków nieuczciwie zdobywanych w spółkach nomenklaturowych. Moczulski próbujący zasiać ziarno sprawiedliwej zemsty spóźnił się o lat trzydzieści. Przywódca KPNu popełnił ponadto dwa błędy: mówiąc jak to okropnie żyjemy wybrał na tło swego wystąpienia blokowisko (czyż spowodował reakcję przełączania telewizorów na drugi program, gdyż nikt nie lubi, gdy mu się wytyka jego nędzę), po drugie, nie skorzystał z popularności Krzysztofa Króla, który w telewizji wypada skromniej niż poza ekranem i byłby o wiele lepszym kandydatem na prezydenta od swego szefa, wyraźnie żądnego władzy.

Tak więc głosy wyborców nie rozróżniających specjalnie programów politycznych, stawiających za to na ludzi dynamicznych i młodych (a przynajmniej sprawiających takie wrażenie na ekranie), przejął człowiek starego systemu: Włodzimierz Cimoszewicz. To on, na tle polityków takich jak Moczulski, Siła-Nowicki, Morawiecki czy Bartoszcze wypadł „nowocześnie”; wyglądał, podkreślam, wyglądał na człowieka nowej epoki: elokwentny, dynamiczny, uśmiechnięty, młody...

Wyborcy podobnie jak spoglądania wstecz nie lubią, jak się zdaje, politycznej egzaltacji, odwoływania się do szlachetnych zamiarów i najwyższych idei. Płomienne mowy i artykuły obrońców jedynego słusznego modelu demokracji z obozu Tadeusza Mazowieckiego, spotykały się z tą samą nieufnością co rozgrzebywanie narodowych ran Moczulskiego, czy patetyczne zwroty, godne parafialnych kazań, chłopskiego trybuna Bartoszcze. Doskonale prezentujący się wcześniej Michnik (szczególnie właśnie w telewizyjnych pojedynkach) w sytuacji poczucia zagrożenia stracił pewność sie-

bie i w ślad za tym stracił od razu... wszystko. Pojedynek z Jarosławem Kaczyńskim był klęską propagandową obozu dotychczasowego premiera. Tymczasem senator Kaczyński jest postacią wybitnie antytelewizyjną (najgorzy jest pewnie ten, przepraszam, niemowlecy locek nad czołem!) i przegrać z nim w studio jest wielką sztuką. Należy jednak przyznać, że Jarosław Kaczyński wypowiada się zawsze z niezwykłym spokojem, a jednocześnie płynnie (Mazowiecki na swoje nieszczęście spokojnie wprowadził, ale w kółko powtarzał po ważnych spotkaniach „osiągnęliśmy głębsze i szersze zrozumienie...”), sprawia wrażenie cynika politycznego, co na nikim dzisiaj nie robi złego wrażenia, jeżeli tylko nie wyziera zzań ambicja osobistej kariery, na co odbiorcy politycznego przekazu są szczególnie wyczuleni.

Są politycy, których image polityczny nie został jeszcze wyczerpany. Znakomitym przykładem tego może być Bronisław Geremek, który zdecydował się dziś na samodzielną karierę polityczną (jednym z „telewizyjnych” warunków tego byłaby konieczność rezygnacji z katedry nauk politycznych na Uniwersytecie Warszawskim). Są politycy, których jeszcze nie wylansowano, mimo iż są powszechnie znani; przykładem może być Władysław Frasyniuk zbyt długo spełniający, niestety, polecenia swoich warszawskich przyjacieli (jak można było dać się oderwać od swojej naturalnej, dolnośląskiej bazy wyborczej!). Są politycy, którzy mogliby wyrosnąć ponad dotychczasową przeciętną, gdyby nie ich nadmierna niecierpliwość – ostatnio błąd zniecierpliwienia popełnił Zbigniew Romaszewski przy okazji wyborów na szefa NIKu; takich rzeczy politykowi robić nie wolno w żadnej sytuacji, a już na pewno nie przed kamerami.

Czy czekające nas zapasy polityczne, których areną będą studia telewizyjne i radiowe staną się widowiskiem nudnym, gdyż partie i siły polityczne wystawią w nich najbardziej zaszubionych, czy też ciekawe i pasjonujące, gdyż doceniona zostanie przez przeciwników specyfika obecnej sytuacji, odmienność oczekiwań społecznych i wyjątkowość miejsca walki – okaże się już w najbliższych tygodniach. Jak na razie jest dość nudno – wokół tylko strajki i demonstacje. Czy jest to cisza przed dalszą nudą czy też może jednak przed burzą – zobaczymy.

Rafał Grupiński



GROSZ

## Metafizyka banału

Ludzie nie rozumieją tego, co się wokół nich dzieje, choć jedno nie ulega wątpliwości: gdzie cierpliwość miała się skończyć, tam się skończyła. Polska jest przeszłością, skłoną lekceważyć poczynania kunktatorów. Polacy są przeszłością. Przez długie lata sparaliżowani przez instynkt samozachowawczy wykazywali bezradność i zadziwiający brak odwagi. Rezultaty wahań i czekania okazały się fatalne. Zamiast dziarskiego efekciarstwa (w komunizmie język stwarzał rzeczywistość, gdzie każdy okłamuje każdego i wszyscy oszukują wszystkich), nowa schizofreniczna awantura spotkała się z naszymi emocjami, podsuwając pokusę, by odgrodzić się od powszechnego banału. To jest właśnie ta Polska, której każde następne pokolenie zdaje się być gorsze od poprzedniego. Nonsensy maskowane ideologią nie mogły wyrwać kraju z zakłętego kręgu, w którym się szamocemy do dziś. Jednostka nadal może jeszcze przegrać ze sklerotyczną biurokracją, podobnie jak ów nieszczęsny mierniczy z *Zamku* Kafki, który nie był w stanie przedyskutować swych problemów z ludźmi władzy.

Ktoś zajęty reżyserowaniem póz intelektualnych dostrzegł znaczną dozę cynizmu, któremu sprzyjały sprze-

czne wartości, swobodnie wymieszane pod wpływem nagłego impulsu. W roku 1988, w atmosferze łatwego optymizmu lat sześćdziesiątych, wielu próbowało odnaleźć siebie, wielu pogubiło się i tylko niektórym udawało się zrozumieć siebie. Po każdym okresie historycznym pozostaje morze wydrukowanych słów. Naprawdę nie możemy zamykać się w sentymentalnej przeszłości. Ciągoty do wyjątkowości, niepowtarzalności, jako następstwo mesjanistycznej psychologii, oraz skłonność do tego, by iść zawsze własną i niepowtarzalną drogą, wszystko to sprawiło, że sami przydzieliliśmy sobie misję specjalną. Powszechnie panuje opaczne wyobrażenie o europejskim dorobku kulturalnym i nastrojów oczekiwania ma coś nieznanego i strasznego, co może nadejść w każdej chwili. Cóż nam innego pozostaje poza przywiązaniem do realiów z pełnym dystansu chłodem. Patriotyczny slogan niezbyt dobrze czuje się w towarzystwie takiego myślenia. Niektóre dobre intencje wpadły w pułapki władzy i oby w momencie triumfu nie nadeszła godzina rozkładu. Martwe dogmaty ciągle chwytają za gardło, gdyż historia nie wie co to poczucie humoru. Najwyższa pora spróbować stawić czoło polskiemu banalowi.

Włodzimierz Paźniewski